

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 17 – 24 kwiecień 1949 r.

Nr 15 – 16 (177 – 178)

TRESC NUMERU: K. Hłakowiczówna – Rogalin; B. Ostromecki – Ogród; B. Piasecki – Odpowiedź X; M. Rostworowski – O właściwą bazę katolickiego ruchu społecznego; A. Micewski – Nowa cenna pozycja; T. Mazowiecki – Samoświadomość społeczna inteligenta (1); Z. Lichniak – Problem; D. Horodyński – Z notatnika podróży; K. Koźniewski – Ostrożnie z nimi; Tydzień kulturalny; Rok Chopinowski. 1949; Wł. Wnuk – Przegląd prasy; Czytelnik uważa, że...

Zmartwychwstanie Pańskie jest najpotężniejszym świadectwem danym Prawdzie. Moc tego świadectwa płynie przede wszystkim z nieogarnionej godności Boga-człowieka. Przewyciężenie śmierci przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa, stanowi od wieków źródło pewności wiary wszystkich katolików:

Dlatego Święta Wielkanocne winny nam uświadomić prawdę dnia codziennego życia osobistego i społecznego każdego katolika.

Trzeba żyć w prawdzie. Nie ma kłamstw nieszkodliwych, nie ma kłamstw celowych. Musimy nie ustawać w wysiłku, musimy nie tracić czujności, aby być precyzyjnymi w formułowaniu prawdy

Trzeba naśladować Boga w Jego stałym działaniu, przez które trwa wszechświat i każda sekunda naszego życia. Trzeba naśladować Boga ustawiczną, radosną, pełną oddania pracą i twórczością.

Trzeba miłować-to znaczy mieć stosunek życzliwości do wszystkich-to znaczy miłować niezależnie od istnienia wzajemności, przyjaźni, czy wrogości. Miłować wszystko w Bogu.

Trzeba ufać Bogu absolutnie i zawsze.



Dm 19/02

KAZIMIERA BŁAKOWICZÓWNA

ROGALIN

Zdruzgotane posągi

Leży posąg — anioł upadły,
przez pierś ranny kamienny kadłub.
Wzdycha pustka paszczą bezdenną,
w szpalerowych alejach — ciemno:
chrusti się płacze, wija się pnącze,
lata, lata minione łączą...
Łączą lata stare i nowe
zielonością szpalerów grabowych.

Obrzydliwość spustoszenia

Pięść wroga uderzyła jak młot w polskie Piękno
i zda się że już martwe. Już nie biją tętna,
Zdarty — święty obrazek na stuletnim dębie,
zegar — strzaskany, kółka już się nie zazębia,
zgasły oczy portretów: turkusy i chabry,
zgruchołane na miazgę — węzły kandelabrow.
Przed ołtarzem Madonny zbrodnia się nie cofa!
poszedł w drzazgi... Rozbity beczenny sarkofag
licę przez Thordwaldsena czy Canowę kute
ślad noszą niezgojony germańskiego buta.
A później — księgi drażnią. Więc wałęsa się stopy,
garsć żołdaka muz dziewięć wywleka za włosy:
Euterpe z Polihymną, Clio z Melpomeną,
tysiące ksiąg zdobytych najmędrzych oceną
— na wóz i precz z pałacu, gdzie się wróg

Lecz niedość zedrzeć skórę... Trzeba przetrząść
kości.

Gdzie długi rząd pokoleń szeroką siedzibę
ustawił w mądrym ładzie, zwięzłe, bez pochyby,
tak rządząc, aby z Szczęściem Piękno żyło stadłem
— stępałych barbarzyńców rój gorliwy wpada.

WIERSZE

Tu burzą mur, tam ścianę wznoszą bezrozumnie,
aż Bezsens wewnątrz harmonię zburzy, zgwałci,
siłami,
aż pałac, gdy mu duszę oniemia, oślepią
— stoi w sobie bezradny jak bez strun fortepian.

O ludu, któryś razem z Pięknem padł i cierpiał,
stań, oparty na kosie, na plugu, na sierpnie,
akiń!... I niech na swe miejsce — czyste, nieulekłe —
w ozdobie i harmonii znów powróci Piękno.

RUSAŁKI

Ciszą zieloną, ciszą gołębią
zaległy sploty gęstych gałęzi
nad wierną ziemią, nad starą ziemią.

BYŁY z piaskowca nieme posągi...
Dzisiaj — rusalki przychodzą z łąki
śpiewne i psodne, barwne jak ongi...

Śmieją się dźwięcznie kraśnemi usty,
patrzają oczyma pełnemi pustki,
wloką za sobą mgły... Martwe chusty.

BOGDAN OSTROMECKI

OGRÓD

Jest taka cisza, jak w tamtym ogrodzie —
i będzie zawsze z nami.

Jest taka cisza nocna, która światłem wschodził
dla serc miłujących ale smutnych —
jest taka cisza, jaka była w Nim
zanim ciężki odwrócił się kamień.

Nie zadrzał nawet liść,
ptak żaden nie strząsnął kropelki rosy z piórek,
może to było o północy, albo tuż przed świtem
kiedy ogród otulała chmura.

Nie było sełw, ni huku wspaniałego, ani dzwónów
bijących w srebrne stropy
zakolysała się raz tylko lekko ziemia
kiedy znów poczuła Jego stopy.

Zastygła kropla na liściu, znieruchomiał ptak
witaly — Wstającego.

A On przeszedł przez ogród powoli w mleczną mgłę
cichy, cichutki tak
jakby nie chciał przerywać tej nocy i budzić
ogrodu uspięnego
aż otrze pierwszą ludzką łzę.

Bolesław Piasecki

ODPOWIEDŹ (X)

Rodzina, naród, ludzkość stanowią typ związków społecznych, do których się wchodzi przez sam fakt przynależności do świata. Genezą przynależności do tych związków jest stan faktyczny, a nie swobodny wybór jednostki. Związki te mają charakter organiczny. Najważniejszy z tych związków — rodzina i najszerszy — ludzkość posiadają charakter pozahistoryczny, żaden człowiek nie może wyjść poza ich zakres. Inne związki organiczne podlegają prawu ewolucji historycznej. Najklasycyjszy współcześnie związek organiczny — naród jest niewątpliwie wytworem ewolucji historycznej. Należy zauważyć, że związki organiczne są powiązane między sobą także w sposób niezależny od woli ich członków. Przykładem może być tu zjawisko pokrewieństwa poszczególnych grup narodów.

Związki organiczne narzucają swym członkom zadanie, wynikające z potrzeb całości związku. Potrzeby rodziny, narodu, a nawet ludzkości całej wiążą w różnym stopniu aktywność jednostki. Trzeba stwierdzić, że system normatywny poszczególnej jednostki nie może ominąć jej stosunku do zadań wysuwanych przez związki organiczne, w których bierze udział. Problem poczucia wartości osobistej jednostki jest zasadniczo zależny od sposobu wywiązywania się z zadań, które stawia przed nią rodzina, naród, ludzkość.

Związki organiczne nie są wewnętrznie jednorodne. Różnicowanie wewnątrz związków organicznych dokonywane jest na zasadzie rodzaju potrzeb i sposobów ich zaspakajania przez poszczególne grupy jednostek danego związku. Rodzaj wykonywanej pracy i stosunek do narzędzi produkcji

stanowią zasadnicze elementy różnicowania wewnątrz związków organicznych. Elementy te wywołują powstanie klas oraz antagonizmy między nimi. Przeciwności klasowe mogą być tak duże, że rozrywają spójnię związków organicznych. Z drugiej strony łączność interesów poszczególnych klas z różnych związków organicznych może wytwarzać ich solidarność. Zaznaczyć należy, że rodzaj wykonywanej pracy wtedy tylko wywołuje powstanie klasy, o ile wiąże się z własnością środków produkcji. O ile typ wykonywanej pracy nie jest narzucony przez układ własności środków produkcji, wtedy zależy on od wyboru jednostki i nie stanowi elementu powstawania klas.

Świadomość członków związku organicznego posługuje się dla realizacji potrzeb danego związku celowymi narzędziami. Narzędziami tymi są związki zorganizowane. Genezą związku zorganizowanego jest konieczność zaspokojenia potrzeb związku organicznego. Struktura natomiast związku zorganizowanego stanowi przedmiot świadomego wyboru jednostek. Dlatego na przykład od początku świata istnieje trwała konieczność zorganizowania państwa, ale sposób zorganizowania go bywa różny i zależny od woli jednostek. Dla ludzi wierzących specjalną formą związku zorganizowanego jest Kościół. Wierni bowiem katolicy są przeświadczeni, że organizatorem Kościoła był Bóg-Człowiek.

Doświadczenia historyczne w pełni potwierdzają pogląd, że narzędziem realizacji potrzeb związku organicznego jest związek zorganizowany. Znamy z historii okresy, w których państwo jest narzędziem rodziny. Można stwierdzić, że autono-

miczna organizacja rodziny istnieje powszechnie w społeczeństwach, które setki lat dzielą od okresu państwa rodzinnego. Współcześnie znamy zjawiska państwa narodu, państwa klasy i państwa narodów. Zaznaczyć należy, że między państwem narodu a państwem klasy nie musi istnieć sprzeczność, o ile dana klasa realizuje interesy całego narodu. Tak samo nie konieczny jest konflikt między państwem narodu a państwem narodów, o ile narody zorganizowane w jednym związku państwowym potrafią realizować wspólne interesy. Na horyzoncie realnej współczesnej problematyki rysuje się problem państwa ludzkości.

Powstaje problem jak różnicowanie wewnątrz związków organicznych wpływa na funkcjonowanie związków zorganizowanych. Jest to zagadnienie sposobu formowania się i krążenia grupy rządzącej związkiem zorganizowanym. Szczególnie państwo jako klasyczna forma związku zorganizowanego, stwarza atrakcyjne pozycje w społeczeństwie oraz określa system eliminacji jednostek, dążących do zajęcia tych pozycji. Doświadczenie każe postawić tezę, że państwo jest przede wszystkim narzędziem najsilniejszej grupy w danym związku organicznym np. w narodzie. W wypadku prywatnego władania środkami produkcji oraz nierównomierności ich posiadania państwo staje się niewątpliwie narzędziem klasy posiadającej. Trzeba też stwierdzić, że grupa społeczna, przodująca w narodzie dąży zawsze do stabilizacji swej pozycji za pomocą wykorzystania aparatu państwowego. Na zasadzie przeprowadzonego rozumowania można powiedzieć, że dążenie takie jest

realne tylko wtedy, o ile ta grupa społeczna wyraża interesy całego narodu. Inaczej bez względu na epokę, jaki będzie stawiać, sam automatyzm tendencji życia związków organicznych zlikwiduje jej pozycje.

Sposób współżycia w związkach organicznych i rodzący się z niego sposób zaspakajania potrzeb za pomocą struktury związków zorganizowanych opiera się dla wierzących na religii i poglądzie na świat, dla niewierzących tylko na poglądzie na świat. Religia i pogląd na świat jest dla poszczególnego pokolenia zjawiskiem przekazanym przez historię czy tradycję i dopiero na tym tle aktualne pokolenie dokonuje swego wkładu w tej dziedzinie. Fakt ten przenosi nasze rozważania w dziedzinę kultury.

Waga religii i poglądu na świat dla form współżycia ludzkiego w związkach organicznych i zorganizowanych polega na precyzowaniu kryteriów wartości, które z kolei rodzą cele działania jednostkowego lub zbiorowego. Ucieleśnianie kryteriów wartości we własnych i cudzych przeżyciach w pracy, dziełach i w przyrodzie stanowi dziedzinę kultury. Ponieważ kryteria wartości są wyznaczane przez pogląd na świat, przeto dyskutujemy często problem autonomii kultury jest możliwy tylko w ramach danego światopoglądu. Kultura jest najpełniejszym stosowaniem kryteriów wartości, stosowaniem zarówno w ocenie, jak i w działaniu. Fakt ten wiąże kulturę z bazą społeczną w postaci związków organicznych i zorganizowanych, ponieważ sposób współżycia w jednych i sposobu zorganizowania w dru-

gich opiera się także na kryteriach wartości, przyjętych przez daną całość społeczną. Tym się tłumaczy znane zjawisko jednoczesności kryzysu kultury, państwa, narodu czy innego związku organicznego. Tym się też tłumaczy współczesne z powyższymi kryzysami załamanie się obowiązujących w danej społeczności zwyczajów. Obowiązująca bowiem moc zwyczajów jest afirmacją uznawanych przez dane jednostki kryteriów wartości.

Pojęcie kryzysu kultury nasywa konieczność podziału na kulturę żywą i kulturę martwą. Kultura żywa wymaga od społeczeństwa podwójnego wysiłku. Jednym z nich jest trud przyswojenia przez dane społeczeństwo syntezę, umożliwiającej skondensowany udział ludziom współczesnym w osiągnięciach minionych pokoleń. Drugie zadanie polega na aktualnej twórczości stwierdzającej przydatność tej syntezy do rozwiązywania aktualnych problemów epoki, w której dane pokolenie żyje. Brak udziału w tradycji kulturalnej lub nieprzydatności tradycji kulturalnej do aktualnych warunków życia nadaje charakter martwy danej kulturze.

Ludzie, należący do różnych kultur, dlatego tak bardzo się różnią, ponieważ w przeżyciach swych dają wyraz szczytowym osiągnięciom całych pokoleń. Które bardzo dawno temu przyjęły dla siebie jakieś odmienne sposoby współżycia organicznego i współżycia zorganizowanego. Zasadniczo bowiem przeznaczeniem kultury jest dawanie możliwości aktualnemu pokoleniu niezaczynania życia od początku.

Bolesław Piasecki

Tadeusz Mazowiecki

Samoświadomość społeczna inteligentów (I)

Trzy lata temu toczyła się w prasie polskiej gorąca dyskusja na temat inteligencji polskiej. Rozpoczął ją Prof. Chałasiński swym znanym referatem — „Inteligencja polska w świetle swej genealogii społecznej” — wygłoszonym w styczniu 1946 r. na inauguracji pierwszego roku akademickiego na Uniwersytecie Łódzkim. Referat ten został następnie włączony do książki pt. „Społeczna genealogia inteligencji polskiej”.

Dyskusja jaką wywołał referat, a później książka Chałasińskiego obracała się w pierwszym rzędzie wokół problemu genealogii inteligencji polskiej, a pośrednio tylko wokół teraźniejszości i postulatów na bliższą i dalszą przyszłość. Nie umniejsza to oczywiście doniosłego wpływu, jaki na kształtowanie się świadomości społecznej inteligentów wywarła przeprowadzona przez Chałasińskiego gorąca i pełna doskonałej pasji publicystycznej krytyka getta inteligentkiego, jak też uzupełnienia niektórych jego dyskutantów. Z natury rzeczy jednak tego rodzaju dyskusja ograniczyć się musiała do nielicznych grup intelektualistów. Trzeba by może, żeby w sukurs profesorowi socjologii pośpieszył jakiś utalentowany komediopisarz, który by jak w swoim czasie Moliere w stosunku do francuskiego mieszczaństwa, a nasz Fredro do polskiej szlachty, ośmieszył przywary i postawę inteligentkiego getta.

Podnoszenie problemu inteligencji w publicystyce na nowo uzasadnia fakt, iż jest to jedno z tych zagadnień, o których stale należy pisać. Problem bowiem i dziś jest aktualny, i można sądzić, że długo jeszcze będzie aktualny. Tym silniej też narzuca się w tej dziedzinie potrzeba konstruktywnego wysiłku myślowego.

Stąd też w naszej pracy nie chcemy ograniczyć się tylko do omówienia istniejącego stanu rzeczy. Analiza aktualnej samoświadomości społecznej inteligentów będzie dla nas punktem wyjściowym dla przemyślenia tendencji społecznego rozwoju pod kątem widzenia wpływu ich działania na pozycję społeczną inteligentów. Wreszcie postaramy się nakreślić wynikające stąd postulaty.

II

Użycie w tytule określenia „samoświadomość społeczna” zobowiązuje do dokonania możliwie ściśle precyzyjnej pojęciowej. Samoświadomością społeczną określam zewnętrznie się w kontaktach współżycia zbiorowego przekonanie człowieka o jego miejscu w społeczeństwie. To uzewnętrznianie odbywa się bądź przy zaangażowaniu intelektu, bądź bez jakichkolwiek przemyśleń.¹⁾

Jak nie ma człowieka żyjącego poza społeczeństwem, jak nie ma też bezkształtnej absolutnie nieodróżnionowej próżni społecznej, tak też i każdy człowiek daje wyraz w jakiś mniej lub bardziej przemyślany sposób swemu przekonaniu o jego miejscu społecznym.

Samoświadomość społeczną inteligentów polskiego określa aktualne rozumienie pojęć „inteligent”, „inteligencja”. Inteligencja to pewna zbiorowość o swoistych znamionach wyższej warstwy społecznej. Inteligent to członek tej zbiorowości. Inteligencja jedynie w ujęciu stawianych jej postulatów przed stawia się jako intelektualna elita: w rzeczywistości społecznej jest i dzisiaj inteligencja historycznie ukształtowaną sui generis warstwą społeczną. Pojęcie inteligent także tylko w sferze postulatów równa się pojęciu intelektualisty (choćby w najskromniejszym tego

1) Podane tu określenie samoświadomości społecznej zbliża je bardzo do pojęcia socjologicznej samowiedzy. Chodzi nam tu jednak nie tyle o wiedzę, co o przekonanie inteligenta o swym miejscu społecznym. (przyp. aut.)

słowa znaczeniu); w rzeczywistości pojęcie to określa przynależność do pewnej, odrębnej, historycznie ukształtowanej warstwy społecznej. Trzeba też dodać, że warstwa ta nie jest jednolita, wykazuje daleko nieraz idące zróżnicowania, które szczególnie w życiu towarzyskim są często bardzo starannie przestrzegane, jednakże mimo tego zbiorowość inteligentów jest pewną całością społeczną opartą na silnie ugruntowanych w przekonaniu jej członków spójniach.

Z punktu widzenia społecznej samoświadomości inteligentów jako członka określonej zbiorowości interesują nas przede wszystkim czynniki wyróżniające inteligencję od pozostałej części społeczeństwa oraz to w jaki sposób to wyodrębnienie jest pojmowane przez samych inteligentów. Równie istotne są tu kryteria podziału na inteligentów i nieinteligentów, słowem przez inteligencję uznawane przymioty, których posiadanie gwarantuje obywatelstwo inteligentkiej zbiorowości.

Kryterium przynależności do warstwy inteligentkiej nie są osobiste walory intelektualne, społeczne czy moralne, ale przez zbiorowość inteligentów uznawany cenzus wykształcenia, pozycja towarzyska i wykonywanie tzw. pracy umysłowej. Trzeba też dodać, że o ile cenzus wykształcenia nie jest niezbędny, o tyle pozycja towarzyska zawsze starczy za legitymację przynależności do warstwy inteligentkiej.

Omawiając dziś problem inteligencji nie można przejść obojętnie wobec faktu zajmowania intelektualnych i kulturalnych pozycji inteligentów, w znacznie szerszym zakresie niż to miało miejsce kiedykolwiek dotąd, przez ludzi pochodzenia nieinteligentkiego. Faktu tego nie można przeoczyć tym więcej, że ci „nowi” będąc w daleko mniejszym stopniu niż kiedykolwiek przed tymi narażeni na zarażenie się psychiczną atmosferą inteligentkiego getta, mają wszelkie dane ku temu, aby gruntownie przeobrazić postawę i pozycję społeczną inteligentów w nowoczesnym społeczeństwie. Nie tylko zresztą na podstawie społecznego pochodzenia, ale przede wszystkim na podstawie społecznej świadomości można by już dziś dokonać podziału na inteligentów związanych swą postawą z warstwowym charakterem inteligencji i na inteligentów nie wiążących swej funkcji społecznej z egzystencją odrębnej warstwy inteligentkiej. Podział ten nastąpiłby nas może optymistycznie gdybyśmy mierzyli „wartość osobistą poszczególnych jednostek z jednej i drugiej strony, przyniosłoby nam jednak daleko więcej pesymizmu, gdybyśmy porównali ilościowy stosunek obu stron. Pesymizm okazałby się tym więcej uzasadniony, gdybyśmy stwierdzili przemienne panowanie pewnej określonej atmosfery społecznej. Sprawa jest tym więcej istotna, że choroba „warstwowości” inteligencji i inteligentkiej wyższości jest chorobą także zaraźliwą.

Dominująca większość inteligentów, to inteligenci, których społeczna samoświadomość opiera się na przekonaniu o niewzruszalności charakteru inteligencji jako odrębnej warstwy społecznej. I dlatego mówiąc w dalszym ciągu naszych krytycznych rozważań o inteligencji bierzemy pod uwagę tę jej dominantę.

Czynnikiem wyróżniającym inteligencję, jako odrębną warstwę społeczno-kulturalną jest według sformułowania J. Chałasińskiego inteligentka forma skupienia w postaci wyizolowanego, społeczno-towarzyskiego getta. Dokonane w Polsce przemiany społeczne w dużej mierze rozluźniły społeczno-towarzyskie powiązania kształtujące oblicze inteligencji jako odrębnej war-

stwy. Jednakże inteligencja polska jako pewien twór społeczny ciągle jeszcze nieprzekształcony przez przystosowanie postawy jej członków do potrzeb nowoczesnego społeczeństwa, znajduje się obecnie w stadium, w którym społeczną samoświadomość inteligentów wyznaczają czynniki będące pozostałością dotychczasowego charakteru inteligencji jako wyizolowanej warstwy społecznej.

St. Rychliński w swoim studium o warstwach społecznych podkreśla, że do ich pełnego wyodrębnienia się nie wystarczają przywileje gospodarcze, niezbędne są postawy wyższości — niższości.

Warstwy inteligentkiej nie wyodrębnia pozycja materialna. Odrębność ta nie zasada się też na zwykłym odróżnieniu funkcji społecznej inteligentów. Odmienność inteligentka została podniesiona w górę, nadano jej walory absolutnej wyższości społecznej.

Ta wyższość inteligentka opiera się na dwóch pieczeniowicie kultywowanych i gorąco broniących fundamentach.

Pierwszym jest absolutne rozróżnienie pracy umysłowej od pracy fizycznej. Wspominamy już wyżej St. Rychliński tak charakteryzuje ten rozdział — „Gdy w kraju naszym po uwłaszczeniu znaczna część ziemiaństwa zubożała, niemal „sproletaryzowała się” oraz znała się na bruku miast, zmuszona do walki o byt w szeregach drobno-urzędniczych, poczęły wyrastać nowe mity wyższości społecznej. Powstało szlachectwo wykształcenia oddzielające inteligencję od gminu. To jednak nie wystarczyło: uszlachcona została wszelka praca przy biurku. Inteligencja stała się warstwą wyższą w społeczeństwie, w którym brakowało mieszczaństwa, a dawna elita, ziemiaństwo chyliła się ku upadkowi. Nigdzie bodaj dystans społeczny między pracą umysłową, choćby najpodrzedniejszej jakości, a fizyczną, choćby konstruktywną nie zarysował się tak jaskrawo jak w Polsce.”²⁾

Wytwarzany przez postawę inteligencji dystans społeczny pomiędzy pracą umysłową a pracą fizyczną został już w pewnej mierze zmniejszony. Z jednej strony wpłynęły na to warunki życia wojennego i powojennego, które zmusiły docenić wartość pracy fizycznej, z drugiej zaś strony dopływ do intelektualnych, kulturalnych i społecznych pozycji inteligentów ludzi z poza inteligencji, gdzie niejednokrotnie mimo całego sceptycyzmu inteligenci mogli się przekonać, że nie potrzeba być inteligentem z pochodzenia, żeby dobrze wykonywać pracę umysłową.

Jednakże utrzymywanie jak największego dystansu pomiędzy pracą umysłową a pracą fizyczną jest i dziś postawą dużej części inteligencji. Ważne jest przy tym to, że w inteligentkach, absolutnym rozdziale pracy umysłowej od pracy fizycznej nie chodzi tylko o rzeczywiste rozróżnienie dwóch dziedzin działalności ludzkiej. Jest to przede wszystkim uzasadnienie i sankcja społeczna historycznie ukształtowanego zróżnicowania na inteligentów i nieinteligentów.

Drugim fundamentem inteligentkiej wyższości jest przekonanie o kulturalnej wyższości, kulturalnym znaczeniu i kulturotwórczej roli inteligencji jako odrębnej warstwy. „Tradycyjne pojmowanie kultury formowało się w Europie stanowej i opierało się na zasadzie, iż kultura jest dobrem, które nie może być posiadane przez wszystkich. — pisał Bohdan Suchodolski. — Ten elitaryzm ostawał się i ostaje aż po dzień dzisiejszy jako wielokrotnie podnoszona wątpliwość czy człowiek z ludu

2) St. Rychliński — „Warstwy społeczne” Przegląd Socjologiczny t. VIII, Łódź 1946 (artykuł pisany w r. 1939).

zwłaszcza w pierwszym lub drugim pokoleniu — może zdobyć naprawdę kulturę, do której dostęp ma być mu otwarty. Przekonanie, że się kulturę wynosi ze środowiska domowego a nawet że się ją w pewnym sensie dziedziczy stanowiło podstawę przekonania, iż tzw. warstwy wyższe jakkolwiek utraciły dawne przywileje i prawa — ostają się jako jedyne warstwy głęboko kulturalne”. „Inteligencja podobnie jak dawniej arystokracja broniła kryterium elitarności ponieważ stanowiło ono podstawę jej własnego istnienia. Tylko elitarność została pojęta inaczej. Miejsce dawnej zasady krwi i urodzenia zajęła idea wieloletniego kształcenia szkolnego”. Nie wydaje się, aby ten elitaryzm kulturowy inteligencji należał już tylko do przeszłości. Przekonanie o dziedzicznej predestynacji kulturotwórczej, o nierozdzielalnym związku twórczości kulturowej z inteligencją, jako odrębną górną warstwą społeczną, o tym, że człowiekiem naprawdę kulturalnym może być tylko inteligent i to inteligent w trzecim czy piątym pokoleniu — należy i dziś do rzędu niewzruszalnych kanonów myślenia inteligentkiego. Stąd rodzi się specjalny stosunek do ludzi z poza warstwy, którzy przychodzą na pozycje inteligentkie. Ludzi tych inteligencja będzie nobilitować, ale zmusi ich do przyjęcia dogmatów inteligentkiej wyższości. Uzna wybitne indywidualności, ale nie odstąpi na krok od zasady, że tylko człowiek urobiony i żyjący duchową atmosferą inteligencji zasługuje na miano kulturalnego. Krytycy inteligentkiego getta podkreślają silnie, iż inteligencja nie wytwarzała klimatu sprzyjającego swobodnemu wybijaniu się jednostek zdolnych do kulturotwórczej działalności. Wchłaniając w swe szeregi jednostki z poza warstwy przyjmowała wobec nich postawę łaskawej i ostrożnej nobilitacji. I dzisiejsza postawa inteligencji nie rodzi też sprzyjającej atmosfery. W kołach inteligentkich często powtarzana jest wersja o niebezpieczeństwie nadprodukcji inteligencji. Wyciąga się to często, a szczególnie wówczas, gdy chodzi o kształcenie młodzieży pozainteligentkiej w szkołach wyższych. W Polsce Anno Domini 1940, potrzebującej inżynierów, lekarzy, nauczycieli itp. — obawa nadprodukcji inteligencji? To o brzmi jak paradoks śmieszny, ale i bolesny zarazem. Jego źródło tkwi nie w rzeczywistości trochę, lecz w obawie o zagrożony monopol kulturowy inteligencji.

Inteligencja jako odrębna, wyizolowana, wyższa warstwa społeczna, jedynie powołana w mniemaniu jej członków do wyrokowania w sprawach kultury, nie mogła i nie może w swym dotychczasowym charakterze stworzyć zdrowego klimatu do swobodnej, niezakrepowanej rekrutacji elementów kulturotwórczych. Skrepowanie jakie wytwarza atmosfera inteligentka, to skrepowanie w chwili dzisiejszej natury psychologiczno-społecznej; dzięki postawie wyższości warstwy inteligentkiej przypina się złośliwą łatkę każdemu, kto do wyżyn kulturowych dochodzi inną drogą niż na to pozwala inteligentkie getto i każdemu, kto nie poddał się psychicznemu naciskowi getta i nie uznał jego dogmatów.

Zdrowa rekrutacja elementów kulturotwórczych może mieć miejsce jedynie tam, gdzie nie ma takiej czy innej apriorycznej predestynacji społecznej, gdzie do poszczególnych funkcji społecznych predestynują człowieka jedynie jego rzeczywiste wartości, wśród których zasadnicze miejsce zajmują wartości moralne. Słowem tam, gdzie

3) B. Suchodolski — „Uspołecznienie kultury” — wyd. II, Warszawa 1947.

jest możliwy swobodny przyływ i swobodny odpływ. Warstwa inteligentka z trudem godzi się na przyływ, ale stanowczo odrzuca odpływ. Łaskawie pozwoli inteligentkie getto na kształcenie „zdolniejszych jednostek z ludu”, ale bronić się będzie przed myślą, aby dziecko inteligentkie, choćby najbardziej ograniczone, wykonywać miało inteligentkie zawód. Poślanie dziecka inteligentkiego do szkoły zawodowej jest i dziś jeszcze aktem wyrzeczenia się wielkich aspiracji, choćby nawet charakter szkoły temu dziecku jak najbardziej odpowiadał. Dla inteligentów bowiem daleko ważniejsze jest zapewnienie swemu dziecku utrzymania się na poziomie i w obrębie swej grupy niż przysposobienie go do twórczej roli w społeczeństwie w zależności od rzeczywiste posiadanych wartości.

Stosunek zaś samej inteligencji do kultury mimo wygórowanych mniemań nie jest twórczy, lecz często wręcz pałacyzujący. Kultura nie jest dla inteligentów czymś, co pogłębia jego osobowość i zobowiązuje do wyciągania konsekwencji dla swej osobistej postawy w każdej sytuacji, w każdym dniu i na każdym kroku życia. Inteligent będzie przeprowadzał starannie rozdział pomiędzy tworzeniem a odbieraniem kultury, co pozwoli mu przyjmować kulturę bez twórczego jej przeżywania. Kultura bawi inteligentów, lub co najwyżej dostarcza mu pożywki myślowej, pozwala na używanie pełni życia człowieka cywilizowanego, ale nie zobowiązuje go do wyciągania konsekwencji moralnych na każde „dzis”.

Wracając do ściślejszego określenia społecznej samoświadomości inteligentów stwierdzamy, iż opiera się ona na przekonaniu o przynależności do odrębnej wyższej warstwy społecznej. To przekonanie ma swoje uzasadnienie w absolutnym rozdziale pracy fizycznej od pracy umysłowej oraz w związku problemu produkcji, a często i „wyższej” konsumpcji kulturowej z istnieniem osobnej warstwy inteligentkiej. Ono też wyznacza postawę inteligentów w codziennych kontaktach współżycia zbiorowego.

III

Typowym rysem świadomości społecznej części dzisiejszej inteligencji jest pewien swoisty radykalizm inteligentki. Jest to radykalizm afirmujący pewne przemiany społeczne, ale pozbawiony niemal całkowicie zrozumienia perspektyw społecznego rozwoju. Inteligencja polska, w jej dzisiejszej sytuacji, podobnie jak dawniej, przyczynia do swego łona neofitów chłopskich czy robotniczych, ale bronić się będzie przed myślą, że rozwój społeczny zmieni do gruntu jej charakter. Mit o nienaruszalności wyższości inteligentkiej i warstwowego charakteru inteligencji jest najsilniej zakorzenionym kanonem inteligentkiego myślenia.

J. Chałasiński w swej „Społecznej genealogii inteligencji polskiej” postawił tezę o przejściowym i przeżytkowym charakterze inteligencji jako osobnej warstwy społecznej. — „Wyodrębnienie się inteligencji w osobną warstwę społeczną opartą o inteligentkie getto nie wynika koniecznością z ekonomicznej struktury nowoczesnego społeczeństwa. Przeciwnie nosi ono charakter zjawiska, przejściowego i przeżytkowego. Jest ono wynikiem przytykowych stanów - arystokratycznych tradycji rozdziału myśli od pracy, teorii od praktyki, uroków życia od jego obowiązków i ciężarów, amatorstwa od zawodu, honoru od przymusu pracy produkcyjnej, „ducha” od „materii”. Im bardziej te tradycje ciąży na społeczeństwie tym wyraźniej inteligencja wyodrębnia się jako osobna warstwa. A

(Dokończenie na str. 7.)

Zygmunt Lichniak

P R O B L E M

Mechanizm pamięci funkcjonuje w bardzo dziwny sposób. Przekonała mnie o tym sprawa Sasiakowej. Czytałem ostatnio jedno z licznych w naszej literaturze opowiadań o tematyce wojennej. W opowiadaniu tym występuje dzielna kumoszka warszawska, która straciwszy w powstaniu dwóch młodych synów, oddała się Sprawie duszą całą. Sprawa była przez duże S, a finał opowiadania taki, że dzielna i zrozpaczona niewiasta ginie wśród murów zniszczonej Warszawy. Nie wiem dlaczego, ale nie mogłem się tym wszystkim wzruszyć i nie wiem dlaczego, ale właśnie wtedy przypomniała mi się Sasiakowa.

Była to kobieta energiczna i krwawiąca. Znała ją cała kamienica, a nawet domy sąsiednie. Dozorca pamięta, jak we wrześniu kłębki, kiedy bomba upadła obok drewnianego kościółka na naszej ulicy, Sasiakowa zorganizowała wśród kilkunastu wyrostków i kilku odważniejszych sąsiadek błyskawiczną akcję przeciwogniową. Zanim nadjechała straż pożarna, niebezpieczeństwo zażegnano. „Wciorności baba” — kończył swoje wspomnienia zatabaczony dozorca. A krzywiąc się pod żółtosiwym wąsem dodawał melancholijnie: „Z taką to chłop musi mieć... Nie daj, Panie Boże...”

Chłop, rzeczywiście, miał. W domu Sasiaków często wybuchały kłótnie. Sasiak lubił pociągnąć z kieliszka, a Sasiakowa głos miała donośny. Cała klatka schodowa słyszała ze ich rozprawy. Najczęściej ostry monolog kończyło głośne stuknięcie drzwiami. To Sasiak wychodził z mieszkania. Ale mawiało się, a przynajmniej garbaty szewe spod siódmego mawiał, że „chłoptisko wychodzi z nerwów”. Na tym się urywało. Następnego dnia nic nie przypominało burzliwych scen małżeńskich. Sasiakowa, jak zwykle, zanosiła obiad mężowi, który pracował sezonowo jako murarz na pobliskiej budowlu. Kochali się pewnie bardzo, bo raz, gdy przyniesiono wiadomość, że na budowlu Sasiaka zdarzył się tragiczny wypadek, Sasiakowa mała nie zwirowała z niepewności. A dopiero po wyjaśnieniu sytuacji odetchnęła głęboko, ciesząc się, że to nie jej mąż zламаł nogę, ale jakiś inny robotnik. Że się kłóciła, to już taki widak jej charakter. Mimo wszystko, dobrze im z sobą było.

Lecznymi wieczorami wychodzili na podwórce „włchać maciejkę”, jak tłumaczyła Sasiakowa. Gadali o czymś między sobą aż do grubego zmroku, a gdy wracali do mieszkanca, Sasiak widocznie nakręcał patefon, bo chropawy tenorek wywodził „Titinę” lub „Walca rFrancois”. Przedtem jakiś baryton zwykł śpiewać „Synku mój”, ale od jakiegoś gwałtowniejszego rozprawy została tylko „Titina” i „Walc rFrancois”. Podobno „Synku mój” zbijała Sasiakowa. Złośliwi dopatrywali się w tym „synku” jakichś słuzgi i żalów, z niedobrą domyślnością i wścibstwem komentując bezdzielną Sasiaków.

Sasiakowa nie przejmowała się tym, chociaż plotki o sobie na pewno musiały słyszeć. Bo słyszała i widziała chyba wszystko nie tylko w obrębie naszej kamienicy, ale i w zasięgu kilku okolicznych domów. Wszystkim o wszystkim mogła opowiadać. Dom, obiad, cerowanie ubrań mężowskich nie wyczerpywało jej energii, żywotności i zainteresowań. Interesowała się

ubraniami, obiadaniami i domami innych. Ona pierwsza zauważyła, że kolejarka spod piątego mogłaby częściej mężowi koszule przepierać, bo chłop w brudnych kołnierzykach chodzi. Że firewk, który jest nby za sublokatora u wdowy po techniku coś za długi przesiaduje nocą u głównej lokatorki. Ona też wypatrzyła córkę Miciaków. Jak się okazało, do tej smarkaty przychodzi Niemcy wieczorem. Sasiakowa aż rozpięta oburzenie. Nie wytrzymała. Narobiła krzyku na całą kamienicę.

— „To ty, lafiryndo, ty utlenio na wyłoko, tatusia i mamusia na wiesz do babci wysłałaś, żeby się pod naszym okiem ze szwabami puszczać?! Kudy ze łba ci powyrywam, gębę zdefasonuje, jak się nie ustakujesz, wrzodzie jeden!”

A gdy Miciakówna roztrzęsiona i zaczerwieniona po uszy uciekla do mieszkania, piskając histerycznym płaczem, Sasiakowa użalała się przed filozoficznie kwającym głową dozorczą.

— „I ja to, panie Kocikowski, przed wojną na lody zabierałam, za cukierki płaciłam, byłam jak druga matka. A teraz — taki wstyd...”

Kiedy zatabaczony Kocikowski mitygował ją i prosił, aby chociaż o tych szwabach ciszej mówiła, bo volksdeutsch z parteru może jej zaszkodzić, Sasiakowa niemal dęba stawała. Zaszkoździć? Jej? Sasiakowej? Ta kreatura? Ani myśli się go bać.

Rzeczywiście. Nie bała się, ale całej kamienicy napędziła strachu. Wszyscy przeżyli ów incydent z Maślińskim. A zaczęło się od kart aprowizacyjnych i mięsa wołowego. „Szmactawiec” ogłosił, że ludność Warszawy czeka się swoich przydziałów na rzecz armii niemieckiej. Sasiakowa kipiała. W dodatku rano pokłóciła się rudą Przepiórkowską, bo wjechały na politykę. Wtedy napatoczył się Maśliński, volksdeutsch z parteru. Wraczał z jakiejś nocnej bibli. U guzika ma rynarki podskakiwał mu trochę oklapnięty balonik. Sasiakowa już od bramy patrzyła na ten balonik złym spojrzeniem. Gdy Maśliński, przechodząc obok niej, zagadał coś żartobliwie, poniosło ją. Kilkundniwa, długo wstrzymywana złość, buchnęła falą gorących, zachłyśniętych wściekłością słów. Krzyczała, aby zamknął mordę, darła się, że ona ze świniami nie gada, że kiedyś mu łeb siekiera rozciąbie. Maśliński odrętwiał. Przybladł i głupkowato miętosząc zdechły balonik, mrukał szybko niewyspanymi oczyma. Wreszcie ocknął się, syknął, że on już głupie baby rozumie nauczy i gumowym krokiem wyszedł do swojej sieni. Błdy strach padł na wszystkich. Bano się o Sasiakową. Maśliński na pewno się zemści. Nie daruje. Radzono jej, aby wyjechała na wieś. Ale Sasiakowa zaczęła się w miłozeniu i została. Maśliński zapomniał i o tej mordzie, i o świni, i o siekierze. Mówili, że stchórzył. Uciehło. Nawet gdy się wyprowadzał do jakiegoś lepszego domu w śródmieściu, ani słowem nie wspomniął o swoich groźbach. Sasiakowa zwyciężyła.

Nie obnosiła się i nie chępiła swoimi laurami. Po dawnemu weszła za plotkami i opowiadała, kto z kim, kto skąd i dlaczego. Ona pierwsza — może wbrew woli — dekonspirowała atmosferę przedpowstaniową. Już na dwa tygodnie przed początkiem przepowiadała terminy. Jej wypowiedzi

gubiły się między mazgajskim „co to będzie?” i bezkrytycznym „narazicie!”. Gdy wybuchło powstanie, gdy akcję praską stłumiono w ciągu dwóch dni, żyła Warszawą. W czasie godziny potrafiła wypowiadać zasadniczo sprzeczne opinie. Od skrajnego optymizmu przez rzucała się do najczarniejszej melancholii. Ale coraz częściej powracał motyw „żeby przetrwać”. Coraz częściej wdychała, „żeby czło wieka diabli nie wzięli, zanim ruskie przyjdą”. Chociaż artyleria da dnia daleko, ciągała za sobą Sasiakowa do piwnicy. Zwalistę chłopisko posłuszne było tym razem jak dziecko. Może chciał mieć święty spokój, a może udzieliła mu się gorączkowa wola przetrwania, nie wiadomo. Gdy zaczęła krążyć stugębna plotka o ewakuowaniu Pragi, o brance wszystkich mężczyzn, Sasiakowa jeszcze bardziej zaczęła przesadzać w ostrożności. Spakowała walizy i męża prawie nie wypuszczała z piwnicy, aż ludzie zaczęli z nich podkpiwać. Reagowała na kpinki niechętnymi warknięciami, a w chwilach bardziej podniosłych mówiła, że nie po to człowiek przez tyle lat tęsknił za wolnością, aby ginąć, gdy już ją objawiają strzały armat sowieckich. Trochę prymitywniej i prosiej to wyrażała, ale sens był właśnie taki. Może dlatego też narobiła największego wrzasku, gdy nad szedł dzień, w którym z Pragi, jak ryby z zamkniętego grobla stawu, zaczęto wybierać mężczyzn na wywózkę do Niemiec.

Żandarmi opletli ulicę żywymi łańcuchami kordonów. Nie było żadnych szans ucieczki. Niektórzy usiłovali kryć się po piwnicach i strychniach. Sasiakowa także zamknęła męża w małej komórecce, o kienko zabiła deskami. Ale wkrótce żandarmi ogłosili przez „granatowców”, że przeprowadzą rewizję. Kogo znajdą w ukryciu — ku la w łeb. Lepiej stawić się dobrowolnie na wyznaczonym miejscu zbiórk.

Poszliśmy. Poszedł i Sasiak. Sasiakowa klęła i jęczała tak, aż któraś z sąsiadek krzyknęła, że nie tyle ko jej chłopca zabierają, że idą tyjące. Odpowiedzią był gest, wyrażający jej najaktualniejszą prawdę, której nie obchodzą tyjące tylko jeden, ten jeden, którego by chciała z tysięcy wyłączyć, uchronić, nie dać. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy, jak i ona byli zajęci swoimi najbliższymi.

Ustawili nas czwórkami. W skwarnym słońcu ginącego honoru wo lata atmosfera pożegnań stawała się jeszcze bardziej duszna i gorąca. Kobiety nie dopuszczano już do kolumny. Stały zbite w kilkutyśięcną cizbę, nieubrane, w szlafrokach, rannych pantoflach, z dziećmi na rękach, połączone w jedną wielką psychozę płaczu i histerycznych jęków. Falały nad nami te jęki i skowytający płacz, jak coś dławiącego i duszącego, jak jakiś parny, ciężki, duszący oblok. Sasiak stał ze mną w jednej czwórce. W pewnym momencie (do dziś nie wiem: z rozuzuleniem, dumą czy przekąsem?) mrukał:

— Ale moja drze się chyba najgłośniej...

Rzeczywiście, wydawało mi się, że z kakofonii płaczącego skowytu wyznal się szczególnie wrzawie ostry głos Sasiakowej. Może wydawało się tak dlatego, że stała w pierwszym rzędzie, pochłaniając ustępującego przed jej rozpaczą „granatowego”.

Gdy ko umnie dano znak do od marszu, jęk tłumy kobiecego zafalował głębszą nutą. Podniesiono szlaban. Mężczyźni odchodzili. Kobiety zostawały. Sasiak szedł, tępo zapatrzony w bruk, z głośnym sapaniem taszcząc wypakowany pieczołowicie przez zonę plecak. W koszarach zgubiłem go w kilkudziesięciu tysięcznym tłumie. Po kilku godzinach wynurzył mi się na chwilę z pijacką rozanieloną twarzą i znów gdzieś zginął. Nie spotkałem się już z nim, bo udało mi się tego samego jeszcze dnia wkroczyć do ekipy demontującej jakąś fabrykę na Grochowie. Chciałem zwiększyć szanse ucieczki.

W fabryce grochowskiej upatrzyłem sobie starego Bawarczyka, który pilnował bramy i zacząłem go systematycznie obrabiac. Zaczęliśmy od jego synów, którzy są w tym samym wieku, co i ja, i też pewnie chcą wrócić do domu. Poprzez serce matki, zalety ciepła rodzinnego, do którego stary piernik już solidnie tęsknił, dotarliśmy wreszcie do konkretów. Stało na moim zegarku, ciepłym pułowierze i litrowce lekarskiego spirytusu, który miałem w plecaku.

Miałem mu to zostawić na pamięćkę miłej rozmowy, dzięki której zgodził się wypuścić mnie chociażem za bramę, wroząc zresztą wiele niemiłych spotkań. Byłem zdecydowany. Wyszedłem. Bawarczyk miał rację. Zdążyłem ująć jakieś dwadzieścia kroków, gdy w booznicę, którą szedłem, skreślił samochód wiozący nową partię więźniów. Na przedniej karoserii wozu ciężarowego siedział żandarm z karabinem na kolanach. Dzień był jasny, samochód jechał bardzo wolno. Usiłowałem obojętnie ominąć spojrzeniem obserwującego mnie z samochodu żandarma, ale już zauważyłem lekki, drwiący, zwycięski uśmiech na jego twarzy. Zdawało mi się, że płacze kroki. Wiedziałem jedno: nie mogę biec. Muszę iść wolno, jak gdyby nigdy nic. Samochód miał mnie mijać. Z trudem odwróciłem głowę w przeciwną stronę. Nie chciałem, nie mogłem, nie powinienem patrzeć na błyszczącą lufę karabinu. Samochód przejechał. Krew mi nabiegła do uszu. Słyszałem wolniej obroty motoru. Znów wiedziałem tylko jedno: nie mogę się odwracać. Muszę spokojnie iść dalej. Gdy samochód stanął kilka metrów za mną, znów tylko jeden nakaz wypełniał mnie całego: muszę iść dalej, nie mogę stanąć. Słyszałem stukot butów zeskakującego na chodnik żandarma. Słyszałem śmiech. Słyszałem trzask specjalnie głośno repetowanego karabinu. Cudem nagość, bolesna nagość i kruchość tyłu czaszki. Sumowałem się resztką siły w potrójnym natężeniu: nie mogę biec, nie mogę się obejrzyć, nie mogę stanąć. Muszę spokojnie iść, jak gdyby nigdy nic. Szedłem. Zawarczał za mną motor. Zarechotał śmiech. Trzasnęła otwierana brama. Później wszystko uciehło. Skreśliłem w boczny uliczkę i zatrzymałem się. Usiadłem na plecaku. Wypłułem krew z przygryzionego języka, oblałem słodkąwoną słońcem z warg, a wtuliwszy głowę w zzieleniałe pleśnią sztachety i gryząc spróchniałą kant jakiejś deski, dusiłem w sobie płaczący chichot zdenerwowania. Dopiero wtedy uswiadomiłem sobie, że od mojego pożegnania z Bawarczykiem minęło najwyżej trzydzieści sekund. Odpoczywałem po nich piętnaście minut. Nie chcąc ryzykować drugiego spotkania prze

kradłem się do pobliskiego parku, aby doczekać zmroku. W parku spotkałem Wacka, syna ogrodnika, którego chałupa stała na przeciw naszej kamienicy. Też udało mu się zwiąć. Po prostu zeskoczył z samochodu i przysnął w bok. Zanim się zorientowali, był już tutaj. Ale nie ma zamiaru czekać nocy. W nocy może być gorzej. Pójdzie teraz. Na wariata. Ma stare świadectwo lekarskie, będzie mówił, że go zwolnili. Może się uda. Uśmiechnął się pokazując podwójną szczękę:

— Kto ryzykuje w kozie nie siedzi.

A później dla dodania sobie siły dodał:

— Na pewno się uda.

Namawiał i mnie, ale pozostałem przy swoim projekcie. Wykonałem go znakomicie. Ruszyłem w jakimś dziesięć godzin po Wacku. O północy byłem już u siebie. Nikt mnie nie zaczepiał. Nikt z naszej kamienicy nie zauważył mojego powrotu. Zawiesiłem w oknie gęstsze firanki i czekałem rana, bo usnąć nie mogłem. Ciekaw byłem, czy udało się Wackowi. Wiadomość przyniosła mi — Sasiakowa. Właściwie nie mnie, ale sąsiadom, które swoim zwyczajem zbierały się pod moimi oknami. Kiedyś przeklinałem te sejmy, teraz błogostawiałem. Niezauważony, ukryty za firanką mogłem słuchać ich rozmów. Jak zawsze najwięcej wiadomości miała niezawodna w takich wypadkach Sasiakowa.

Już wiedziała o Wacku. Wrócił. Zwolnili go na komisji. Pewnie i innych zwolnią. Jej starego łanie reumatyzm i ma czyraki. Trzeba tylko czekać.

Po południu Sasiakowa przybiegła pod moje okna roztrzęsiona nową wiadomością. Ze zwalniajaniem bujda. Nikogo nie zwalniają. Nie ma żadnych komisji. Temu młodemu badylarzowi udało się uciec. Każdy głupi ma szczęście. Taki szwendziak uciekł, a tylu dorosłych cierpi dalej.

Następne wiadomości Sasiakowej przynoszone niemal co godzinę, były coraz wyraźniejsze. Za ucieczką jednych tam, rozstrzelaniu ją drugich. Dziesięciu za jednego. Coraz częściej kobiety patrzyły na dom ogrodnika. Coraz ostrzejsze padały słowa. Wreszcie jedna z rozmów, gdy Sasiakowa znów wróciła z połowu nowin, przybrała obrót całkiem zdecydowany.

Oto powiedziano jej, że stary badylarz też wrócił. Ona go nie widziała, ale badylarzowa oprócz Wacka ukrywa kogoś w obórce za inspektami. Już ma ich dwóch z powrotem. A jednocześnie jeden Niemiec opowiadał w sklepie u Janeczki, że za każdego uciekiniera rozwalają tam dwudziestu, że lepiej od razu, z takimi zrobić porządek. I chyba miał rację. Za tych badylarzy mogą rozstrzelać naszych chłopów.

Chciałem wyskoczyć na podwórce i wrzeszczeć, że albo Sasiakowa, albo tamten szwab kłamie. Nikt nie zauważył ucieczki nawet setki ludzi. Liczą i liczą, ale rady sobie dać nie mogą z bałaganem. Można uciekać. Trzeba tylko ryzykować. Trzeba przeżyć trzydzieści cholernych sekund. Nie naraża się nikogo oprócz siebie.

Nie wyskoczyłem jednak, nie wtuliłem się. Słuchałem jęków, histerycznych szepców, konszachcików technostwa (c. d. na str. 7)

Kazimierz Koźniewski

Ostrożnie z Nimi

15 września 1940 roku był dniem wielkiej „Battle of Britain”. Nad Londynem stracono około 200 samolotów, w czym nie miały udział przypadki Polaków. Tegoż dnia rano dzienniki pełne były artykułów o wyczynie pewnego pilota polskiego, który kilka dni wcześniej bronił Londynu przed atakującymi samolotami niemieckimi, gdy wyczerpała mu się amunicja — sam rzucił się z maszyną na nieprzyjacielski bombowiec; stracił go, przy okazji rujnując własną maszynę i zabijając samego siebie. Artykuły pełne były konwencjonalnych zachwytów. Lecz tu i ówdzie poza zachwyt przetrwał rachunek; pytano się: czy w okresie, gdy Wielka Brytania miała bardzo niewiele samolotów i mało sprawnych pilotów, a stro na przeciwną posiadała ich wiele, czy opłacało się tracić jeden za jeden; stracony samolot i zabity lotnik nie byli łatwi do zastąpienia, a przecież każdy z nich — przypuszczalnie nawet tą jedną maszyną — mógł stracić jeszcze szereg innych maszyn i zadać nieprzejścielowej stracie o wiele wyższe. Żołnierz — obywatel — brytyjski kalkulator — obywatel — brytyjski kalkulator. Lotnik polski nad tym się nawet zastanawiał. Całe jego wychowanie w domu, szkole, wojsku zmierzało do tego, by nadać sens ofiarom czynionym z życia, by z góry przygotowywać do bohaterstwa laurów. Pewien pisarz norweski napisał nowelę pt. „Tchórz”. Czeski reżyser ją zfilmował. Był to arcy — mądry film, który zamiast wejść do naszego repertuaru pedagogicznego, został przez publiczność przyjęty zupełnie chłodno, przez krytyków kwaśno. „Łódź teatralna” drukuje wiadomość o tym, że słowacki dramaturg „Karwasz przeniósł wydarzenia powstania na Słowacji w r. 1944, którego sam był uczestnikiem w utopistyczną analogię pt. „Meteor”, gdzie nie stawiał się w sposób głęboko ludzki postawić problem prawdziwego bohaterstwa i szczytowego, nieodpowiedzialnego hazardu”. A u nas na ten temat dziwnie głucho, choć przecież nie inny ale ten właśnie problem jest centralnym zagadnieniem psychologicznym

(Dokończenie ze str. 6)

z zazdrością, bólu z rozpaczą. W mózg wznął mi się coraz gorętszy, coraz ostrzejszy dyszkant Sasiakowej. Opadałem z sił. Czulem, że dzieją się rzeczy nieodwołalne.

Piekącymi z niewyspania oczyma patrzyłem przez gestą kratę firanek, jak Sasiakowa, nerwowo gestykulując, pokazywała patrolowi niemieckiemu dom ogrodnika i obórkę za inspektami. Oblizyłem suche wargi i zacząłem pakować plecak.

Musiłem uciekać. Słyszałem, jak rano jedna z sąsiadek Sasiakowej dziwiła się głośno, skąd nagle u mnie w oknie odświeżone firanki. Musiałem uciekać. Uciekać przed Niemcami i przed Sasiakową.

Staralem się ją zrozumieć. Nie mogłem. Nie mogłem także opanować wtedy uczuć wstępu i nienawiści. Dopiero później ustąpiły one miejsca współczuciu i litości. Bo dopiero później dowiedziałem się, że w obórcie za inspektami ukrywał się nie stary badylarz, ale Sasiak. Uciekł tego dnia, co i my. Nie chciał przyjść prosto do żony, aby jej nie narażać. Sądził, że w odosobnionym domku ogrodnika będzie bezpieczniejszy.

Zygmunt Lichniak

naszej konspiracji. Problem lekkomyślnego męczeństwa. „Gra” on zresztą po dziś dzień

Powien Polak od września 1939 przebywający w Paryżu, zmobilizowany do naszej armii emigracyjnej w czerwcu 1940 — przybył do Coetquidanu, wielkiego polskiego obozu wojskowego w Bretonii, na kilka dni przed upadkiem Paryża. Gdy zaniepokojeni sytuacją na froncie pytaliśmy go, czy Paryż będzie się bronił — ten Polak, pozatem człowiek dużego rozsądku, odpowiedział nam, iż wierzy w rewolucyjnego ducha Paryżan, wierzy iż z miasta swego zrobią barykadę. Polacy oczywiście chcieli, by kampania we Francji trwała jak najdłużej, z tym łącząc swą nadzieję wojenne, oblężenie Paryża, wydawało się, przedłużyć, odwlecze agonie Francji, choć przecież oblężenie Warszawy nie odwołkło przegranej 1939 r. w Polsce. Francuzi jednak byli rozsądniejsi i nazbyt dobrze znali wartość bogactwa mieszczańskiego w rozmaitej formie w murach Paryża: Stolicę oddali bez walki. Uratowali ją w ten sposób dla kultury świata. Publicysta polski pisał wkrótce potem w londyńskich „Wiadomościach Polskich”, iż żał mu Paryża, gdyż nie dostąpił męczeńskiego lauru Warszawy. Po niemal 10 latach od wybuchu wojny chyba wyraźnie dostrzega każdy — choć jestem pewien, że nie każdy z Polaków — jak nieodpowiedzialnym hazardem z punktu widzenia generalnego dobra narodowego była obrona Warszawy po dniu w którym wskutek ucieczki zagranicę Dowództwa Wojskowego ustał zorganizowany opór, a więc obrona stolicy militarnie była zupełnie bez sensu. Jak nieprzemyślnym hazardem było Powstanie 1944 roku. Powstanie od lat kilku było marzeniem każdego z nas, którzyśmy przebywali podówczas w Warszawie, ukrytym celem kurierskich wędrówek z Londynu do kraju była chęć uczestnictwa właśnie w Powstaniu, to namiętne pragnienie niżej podpisany zalicza do swych najcięższych grzechów

Coś mi się wydaje, że jesteśmy chyba jedynym narodem, który z tak przeraźliwą — i chorobliwą — intensywnością ceni miejsca narodowych kaźni. Który ceni swoje klęski bardziej niżeli swoje zwycięstwa. Jest w tym coś z charakteru narodowego, skoro powtórzyło się dwukrotnie, choć w różnych nasileniach i różnych okolicznościach. Za czasów caratu boiskiem narodowej, dokładniej warszawskiej, kaźni była Cytadela. Gdy tylko odzyskaliśmy niepodległość za najpilniejsze zadanie uznaliśmy uzyskanie Cytadeli na kształt narodowego ołtarza. Zorganizowano tam małe muzeum. Sam pamiętam, jak młodym gimnazystą będąc, składałem w ramach jakiejś PPSowskiej masowej manifestacji gorące przysięgi właśnie na miejscu dawnych kaźni. Terror carski w porównaniu z terrorem hitlerowskim był zabawką. Był leżbowo nikły. Ofiary Cytadeli szły w setki najwyżej, Oświęcimia — w miliony. Nie dziwnego, że w swej proporcji „Muzeum w Oświęcimiu” jest

Czytajcie

„SŁOWO Powszechnie”

czymś znacznie większym od muzeum w Cytadeli. W istocie swojej jest tym samym. Jest czczeniem własnej martyrologii. Jest lubowaniem się we własnym męczeństwie. Jest koronowaniem własnego nieszczęścia. Jakbyśmy tą jedną tylko wartością mogli wśród innych społeczeństw coś znaczyć. Co przecież nie jest prawdą.

II

Dosyć tych przykładów — tak rozmaicie zebranych, a tak w gruncie rzeczy dążących ku jednemu: ku namiętnej potrzebie męczeństwa, namiętnej potrzebie bycia nieszczęśliwym. Świat daleki jest od ideału. Ale przecież w każdej sytuacji historycznej można równie wynajdywać jej strony dodatnie — i z nich się cieszyć, jak czeptać się stron ponurych, złych — i tylko nad nimi się rozżalać. Mamy — my polska inteligencja, nie potrafimy wyrażać opinii o innych grupach narodu — dziwnie masochistyczne skłonności samoudręczenia się. Każdy w swym życiu osobistym ma wiele przykrości i przeszedł liczne klęski. Pamięć indywidualnego człowieka jest tak szczęśliwie skonstruowana, że na ogół rychło zapomina się o nieszczęściach, lepiej zachowując wspomnienia chwil miłych. Dlaczego nasza pamięć zbiorowa ma inne właściwości?

Na pytanie „dlaczego?” jest oczywiście odpowiedź bardzo prosta i łatwa. W braku innych, wiara w siłę i walor własnego męczeństwa narodowego, była tą wartością, która poczuciu narodowemu pomagała w przetrwaniu półtora stulecia niewoli. Instykt cierpienia był instynktem samozachowawczym. Postawa psychiczna stosowana w jednej sytuacji historycznej — jest absurdalną w innej. Skok do wody nie zawsze jest ratunkiem — czasami lekkomyślnością grozącą śmiercią. Poto Pan Bóg dał człowiekowi rozum, a nie tylko instykt, by działał zależnie od okoliczności występujących w każdym wypadku. Doświadczenia socjologiczne i historyczne uczą jednak, że o ile jednostka działa na ogół zgodnie z wskazaniami rozumu, o tyle masa jednostek reaguje zgodnie z odebraną tresurą, a nie odmiennymi potrzebami każdego wypadku. Nie dziwnego, iż w ciągu kilku lat, jakie minęły od roku 1918, nie sposób było zmienić psychiki narodowej. Tym więcej, iż wbrew okolicznościom politycznym wojna i okupacja hitlerowska potraktowane przez nas zostały jako kontynuacja wyborów, dlatego zdawało się nam, iż jedynie mnożeniem (choć wszystkie narody Europy właśnie starały się te-

go unikać) doznać martyrologicznych znówóć utrzymamy się w „narodowej” linii.

W pewnej części społeczeństwa postawa ta trwa nadal. Bądźmy szczerzy. Nie co innego, tylko ona właśnie była sprężyną, wskutek której stale jeszcze sporadycznie spotykamy się z przejawami konspiracji w Polsce. Co oczywiście jest w tej chwili znakomitą okazją i szansą dla tych wszystkich, zgoda nie cierpiętniczo nastawionych międzynarodowych ośrodków dyspozycyjnych, jakie rażą będąc każdemu niepokojowi istniejącemu po tej stronie frontu walki o ustrojowe oblicze świata, nie zaniedbują żadnej okazji, by zamieszkali takie organizować lub prowokować. Zadane z naszych powstań przeciwko caratowi nie doczekało się nigdy tak wielkiej pomocy, jaka obecnie jest świadczona tym wszystkim, jednostkom lub grupom, które zdecydowały się na sianie zamętu i niepokoju w dzisiejszej Polsce.

Zmienić nastawienie psychiczne narodu, czy tylko jego dużej grupy, można jedynie zmuszonym lecz powszechnym procesem wychowawczym. Proces taki w swym zasadniczym zrybie dokonywać się będzie jedynie na drodze oddziaływania warunków materialnych, politycznych, społecznych — na nasze młode pokolenie. Jednostkowe wychowanie nie wiele może tu zdziałać. Jednak wydaje mi się słusznym, by nie wyzybać się odpowiedzialności osobistej szczególnie jeśli uważamy za jednostronne przyjęcie doktryny Marksa, iż „był określa świadomość”. W sytuacji naszej nawet pełne przekonanie, że sylwetkę duchową człowieka kształtują warunki w jakich żyje, nie uwalnia nikogo — ani rodziców, ani nauczycieli, ani publicystów czy artystów — od obowiązku neutralizowania tych wszystkich sił, tak psychicznych, jak politycznych, które tęsknią do założenia nam męczeńskiego wiązania.

Wianek cierniowy założył dobrowolnie na swą głowę jedynie Chrystus. W ślad za nim — uczynili to nieliczni święci. Były to zjawiska wyjątkowe. Jak głęboką mądrością brzmią słowa ks. Bolesława Kominka, administratora apostolskiego Opolszczyzny, który w 200 n-rze „Tygodnika Powszechnego” napisał: „Bieda wiernym, którzy z takich zjawisk wyjątkowych i szczytowych, chcą zrobić ruch „społeczny”, obejmujący wszystkich wiernych”.

Odnieść to można i do tych spośród nas, którzy nieustannie realizując się historyczne życie narodu chcą zamknąć w wieczne męczeństwo. Wypada ostrzec przed nimi.

Kazimierz Koźniewski

Nabyć, czytać, nie czytać...

Erskin Caldwell: **Druga Ameryka (Droga Tytoniowa, Tarapaty lipcowe)**, przekł. Łuszczowej, Zirowskiego i Borowskiego, „Czytelnik”, K. O., Warszawa 1949, str. 336.

Dwie duże nowele Caldwell, wydane w jednym z tomów klubu „Odrodzenia”, trafnie zostały określone wspólnym tytułem polskim. Obydwie ukazują Amerykę inną niż ta, o której czytamy w pismach amerykańskich, czy ta, którą widzimy w hollywoodzkich szmirach. Caldwell ukazuje nie Amerykę lśniących limuzyn, kilkudziesięciopiętrowych drapaczy chmur i milionowych zarobków, ale Amerykę nędzy, głodu, linczu i bezprawia.

„Droga Tytoniowa” jest próbą socjologiczną, dokładniej: ekonomiczną komentarza współczesnej polityki wewnętrznej imperialistycznych rządów kapitalistycznych. Nędza robotników, ojca sprzedającego córkę za worek bruki, rodziny skaczącej sobie do oczu aby zapelnąć brzuchy, mają być oskarżeniem. Niestety, oskarżenie zostało niefortunnie sformułowane. „Droga Ty-

toniowa” nie ukazuje powikłań socjologicznych, ale — raczej odłania, patologiczne konflikty pół - zidiociałej, prawie całkowicie zewierzęciałej rodziny. Jeśli autor zamierzał ten stan patologicznego zbydlenia przedstawić jako wynik działania pewnego systemu polityczno - gospodarczego, zamierzeń swoich nie zrealizował konsekwentnie i przekonywująco. Stary Jeeter mógł poprawić swój los, gdyby z uprasy roli zrezygnował, a zajął się pracą w fabryce bawełny. Za jego nędzę winę ponosi system, ale w równej mierze — opierając się na relacji autora — i on sam. Oczywiście, to nie usprawiedliwia systemu, ale stępią ostrze zarzutów, jakie powinny go przyszołdzić do ziemi. Bo wyraźniej wystąpiłaby okropność warunków, gdyby bezskuteczną walkę podjęli z nimi ludzie zdrowi, a nie jak u Caldwell, półgłówki, maniacy i zera moralne. Tłumaczenie ich kretynstwa systemem, patologii-socjologii, zamyka i autora i czytelników w błędnym kole.

„Tarapaty lipcowe” są pod tym

(Dokończenie ze str. 5.)

tradycje te ciąży na społeczeństwie tym bardziej, im bardziej społeczeństwo jest zacofane cywilizacyjnie, opóźnione w swoim techniczno - gospodarczym rozwoju”.⁴⁾ Teza ta absolutnie słuszna nie zdobyła sobie dotąd powszechnego prawa obywatelstwa w społecznej samoświadomości inteligentów. Przeciwnie panującym powszechnie jest przekonanie o niewzruszalności warstwowego charakteru inteligencji.

Omawiając to zagadnienie, ubocznie potrącić musimy o fakt, że inteligencja jako całość była warstwą par excellence społecznie statyczną. Ten brak dynamiki uwarunkowany był charakterem inteligencji, jej genealogicznym ukształtowaniem się i społecznym wyizolowaniem. Stąd rozdziło się staranne pielęgnowanie tych pierwiastków naszej kultury, które tłumaczyły i uzasadniały warstwową egzystencję inteligencji, stąd ostrożny patronat kulturalny zamiast szeroko zakrojonej służby społeczno - kulturalnej, stąd typowo inteligentcka łatwizna myślowa, stosunek do człowieka uzależniony od jego pozycji towarzyskiej, stąd wreszcie w dziedzinie politycznej dominanta myśl zachowawcza.

Pomijając już fakt, że ten brak dynamizmu społecznego nadawał inteligencji jako warstwie znamię przejęciowości, charakter inteligencji, jako odrębnej, wyższej i wyizolowanej warstwy społecznej ulega zmianie wskutek działania czynników społecznego rozwoju.

Pierwszy z nich wskazuje podane tu wyżej sformułowanie J. Chalasińskiego. Chodzi tu o rozwój gospodarczy. Przepaść kulturalna pomiędzy warstwami elitarnymi, a masami społecznymi nie jest wszędzie tam większa, gdzie istnieje stan zacofania gospodarczego. Podniesienie poziomu gospodarczego kraju wpływa niwelująco na międzywarstwowe różnice kulturalne, podnosi przeciętną kulturalną. Z chwilą, kiedy każdy człowiek otrzymuje wykształcenie podstawowe, gdy analfabetyzm należy do przeszłości, gdy stworzone zostają warunki korzystania ze zdobyczy kultury i techniki przepaść kulturalna między warstwami społecznymi zostaje zniszczona.

Obok zasadniczego znaczenia działania rozwoju gospodarczego, na zmianę dotychczasowego charakteru inteligencji wpływają dwa równie istotne czynniki. Są to: 1) zacieranie się absolutnego rozdziału pomiędzy pracą umysłową, a pracą fizyczną człowieka i 2) proces całkowitego społecznego niwelujący różnice międzywarstwowe i zmierzający w swym prawidłowym rozwoju w kierunku wykształcenia się społeczeństwa pozbawionego hierarchicznych różnicowań klasowych. Obu tym sprawom poświęcimy następną część naszych rozważań.

C. d. w numerze następnym.

⁴⁾ J. Chalasiński — „Społeczna genealogia inteligencji polskiej”. Warszawa 1946.

Zyg. Lich.

WTOREK

O świcie wyjechałem z Londynu. Na dworcze w Paryżu było ciemno, padał deszcz, strejk taksówek zmuśli mnie do zostawienia rzeczy w przechowalni, dwie godziny szukałem miejsca w pobliskich hotelach, ale te wszystkie drobne przykrości towarzyszące zawsze podróży w niczym nie zmniejszyły mojej szalonej radości, że nareszcie jestem we Francji. Już w pociągu z przejęcia przepłaciłem kelnera, teraz robię to samo z tragarzem i uśmiecham się do wszystkich spotykanych ludzi. Wchodzę do pierwszej porządniej wyglądającej restauracji i objadam się straszliwie. Oczywiście odczuwam wyrzuty sumienia, że za przejeżdżenie pieniędzy można by kupić przynajmniej z jedną książkę. Aby się rozgrzeszyć, snuję rozważania na temat związku między dobrą kuchnią a kulturą. Dwa narody, które stworzyły najwspanialszą kulturę humanistyczną, Francja i Włochy, stworzyły też własną znakomitą kuchnię. Ile czasu, ile ambicji i pieczołowitości wkłada Francuz w przyrządzanie i spożywanie jedzenia. A gdy mu się z tego powodu czyni wyrzuty, odpowiada: słusznie, ale jakie rezultaty! — Istotnie rezultaty wspaniałe szczególnie po Anglii, gdzie właśnie wczoraj, na pożegnanie, miałem rozczulający, ale nieco kłopotliwy przypadek. Śpiąc zając się, wstąpiłem wieczorem do małej restauracji i poprosiłem o kotlet. Dostałem jakiś twarogowy przedmiot z dwoma kartoflami po bokach, którego w żaden sposób nie można było ugryźć. Zjadłem kartofle, zapłaciłem i chciałem wyjść, gdy urocza właścicielka restauracji zauważywszy moją daremną walkę z kotлетem, zagroziła mi drzwiami oświadczając, że w żaden sposób nie zgodzi się, abym opuścił jej lokal wynosząc o nim złą opinię, mam zostać i zjeść za darmo specjalność restauracji, kotlet z wieloryba. Na samą myśl o kotlecie z wieloryba dostają zawsze mdłości, ale nic nie pomogły moje tłumaczenia, że jestem cudzoziemcem, że następnego dnia wyjeżdżam, że nigdy tu nie wrócę i że o kuchni angielskiej a jej lokalu w szczególności mam jak najlepszą opinię. Musiałem zostać, gospodyni stała nade mną i pilnowała abym jadł, minęło tak straszliwie pół godziny podczas której mówiłem bez przerwy nadzwyczajne rzeczy o jej restauracji, chociaż angielskim ledwo władam, byłem zupełnie wyčerpany i mokry z obrzydzenia, ale dzięki tej taktyce udało mi się nie tknąć wieloryba. Gdy byłem już u kresu sił, ktoś odwołał moją przeladowczynię do kuchni. Zrzuciłem wieloryba pod stół, gdzie natychmiast zjadł go pies — w Anglii na szczęście wszędzie są psy. Z nikim nie żegnałem się tak czule, jak z gościnną gospodynią, która zachwycona widokiem mego pustego talerza pytała jak mi smakowało.

W Paryżu nie grozą takie przygody, ale też na pewno żaden restaurator nie zaproponuje mi darmowego dania, wiem z doświadczenia, że za parę dni będę musiał z braku pieniędzy chodzić po znajomych i opłacać nudą kawalkę mięsa. Mimo zmęczenia nie potrafiłem odłożyć do jutra przejścia się po najpiękniejszym mieście. Dostałem się na Pola Elizejskie i zacząłem włączyć. Znalazłem się przed kinem: film Jouveta „Les amoureaux sont seul au monde”, wszedłem. W ciągu niedługiego czasu oglądałem już trzeci film tego wielkiego aktora. Do Jouveta można chyba zastosować powiedzenie francuskie „c'est trop intelligent”. W każdym filmie mówi tylko maksymami a

gra jego jest przeciągnięta, za nadto pozowana.

Przed snem czytam cały stos prasy francuskiej. Już od wielu tygodni sensacją Paryża jest Gary Davis „pierwszy obywatel świata”. Charakterystyczną rzeczą dla klimatu intelektualnego Paryża, jest fakt, że ten nie zrównoważony młody Amerykanin traktowany jest raczej poważnie. Na zebraniu intelektualistów i pisarzy Albert Camus twierdzi, że Davis zasługuje na szacunek, bo jest pierwszym, któremu wpadła do głowy myśl ogłoszenia się obywatelem świata, p. Eleonora Roosevelt pisze na temat Davisa moralizatorskie uwagi w Le Monde itp. Wszyscy jakby zapomnieli, że blisko dwa i pół tysiąca lat temu Sokrates uważał siebie za obywatela świata, co mu nie przeszkadzało być wzorem patrioty hellenistycznego. Humoreska w okół Davisa dowodzi z jednej strony powszechnego pragnienia pokoju, z drugiej utraty zmysłu rzeczywistości i rozsądku u ludzi, których zdaje się najbardziej pasjonują paradoksalne zjawiska.

ŚRODA.

Byłem na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa, gdzie Bramuglia odczytał swą deklarację w sprawie Berlina. Paryżanie snobują się na ONZ i każdy stara się zdobyć kartę wstępu do Palais Chailiot, tłum stoi przed pałacem mimo, że to co dzieje się w środku jest najnudniejszą rzeczą pod słońcem. Zebra nie zaczęło się z godzinnym opóźnieniem. W gorącej, nabitej ludźmi sali minister argentyński dał koncert banału i grafomanstwa, po czym każdy z członków Rady zajmował stanowisko, z tym, że im mniejszy reprezentował naród, tym dłużej przemawiał. Delegat Syrii odegrał się na Wyszyńskim, za publiczne obudzenie go na poprzednim zebraniu i mówił z godziną. Żeby zrozumieć cały bezmiar nudy takich posiedzeń trzeba wiedzieć: a) że wszystkie wystąpienia są uprzednio między delegatami uzgodnione i nie może zdarzyć się niespodzianka, b) mimo że wszyscy delegaci i zaproszeni goście dysponują wielojęzycznymi słuchawkami, każde przemówienie jest po wygłoszeniu tłumaczone na cztery języki przez tłumaczki co trwa wiele godzin, c) zespół ludzi zajmujących się w chwili obecnej polityką zagraniczną jest wyjątkowo nie atrakcyjny. Na sesji paryskiej tylko Wyszyński i Spaak wnosili życie, poczucie humoru i rzeczywistości na salę obrad. Dzisiejsza sesja choć szczególnie ważna, była nudniejsza od innych i nawet przedstawiciel tak cierpliwego narodu jak Chińczycy, zauważył z kurtuazyjną złośliwością, że usłyszana deklaracja jest równie „szlachetna jak i elokwentna”. Mimo tej śpiącej atmosfery, żadna poważniejsza sprawa nie została w ciągu wielotygodniowych obrad uzgodniona. Nic więc dziwnego, że ONZ jest ulubionym tematem złośliwych dowcipów. Przeczytałem dziś taką propozycję jasniejszego zdefiniowania różnych terminów politycznych, aby delegaci łatwiej mogli się porozumieć:

Powrót do stanu normalnego: powrót, po wojnie, warunków, które wojnę wywołały.

Projekt rozbrojeniowy: tajnicza wojskowa.

Tajemnica dyplomatyczna: to co delegaci myślą jeden o drugim.

Zerwanie rokowań: ostatni etap przed zawarciem kompromisu. czas rząd ten odznacza się dużą inercją. 100 milionowe imperium nie wykazuje aktywności w żadnej dziedzinie. Handel zagraniczny, o-

Dominik Horodyński

Kompromis: wielkoduszne wyrzeczenie się przez partnerów ich bezprawnych żądań, gdy uzyskali więcej niż oczekiwali.

Takich dowcipów można by przytaczać wiele. Niestety to co się dzieje w Palais Chailiot jest dość smutną historią, ale fantastyczny widok na Sekwanę z okien pałacu pozwała odłożyć na później ponure rozważania.

Mijam staruszka Ramadier, który oddając ukłony idzie piechotą do domu i odszukuje p. Edith Bricon, znakomitą dziennikarkę, współzałożycielkę powstałego niedawno „Maison de la Paix”, towarzysztwa jednoczącego wysiłki intelektualistów walczących o pokój. Pani Bricon przed paroma miesiącami była w Polsce i Czechosłowacji. Uważa, że rozmach naszej odbudowy wynika z faktu, że wystartowaliśmy od zera, czego np. nie można powiedzieć o Czechach. Muszę przyznać, że argumentacja ta, nie zupełnie mnie przekonała. Dowiady się o nędzy i bezrobociu wśród dziennikarzy francuskich i o pracach Domu Pokoju. P. Bricon ma starego kota i jest bardzo gościnnie, choć sama nie pije pozwala mi wypić pół butelki koniaku, dzięki czemu w lepszym nastroju, obładowany starymi gazetami wracam do hotelu. „Nie trzeba być pesymistą, ale trzeba pamiętać, że środki, którymi dysponują partnerzy, mogą, niestety narzucić cele” — stwierdza sentencjonalnie spotkany po drodze znajomy.

Czytam gazety.

Przed miesiącem odbył się w Paryżu międzynarodowy zjazd młodych lewicowych katolików. Zjazd raczej miał być międzynarodowy, w rezultacie różnych trudności przyjechało tylko kilku Włochów z dawniej „Sinistra Cristiana”, obecnie członków partii komunistycznej. Wokół zjazdu było dużo życzliwego i nieżyczliwego szumu w prasie. Prawicowy „Le Monde” tak pisze o tzw. katolickich postępowych: „są oni z obu stron żelaznej kurtyny, tak przez Kościół jak i władzę ziemską traktowani z pewną tolerancją, a to dlatego, że są młodzi i głęboko, mimo popełnianych błędów przeżywają niepokój naszych czasów”.

WTOREK.

Strajk węglowy dobiega końca. Partia komunistyczna okazała się znowu najsilniejszą, zorganizowaną siłą polityczną we Francji. Trudno przewidzieć, czy w obecnym układzie międzynarodowym stan ten będzie trwał, pewne jest jednak, że mimo położenia Francji wewnątrz amerykańskiego systemu politycznego, likwidacja wpływów komunistycznych jest niemożliwa i wszelkie jej próby muszą doprowadzić do wojny domowej o niewiadomych skutkach i wyniku. We Francji, może w wyższym stopniu niż w innych krajach kapitalistycznych istnieją obiektywne powody wywołujące niezadowolone klasy robotniczej. Płace są niewystarczające a zawiły ich system ułatwia nadużycia. Obecny złówek partyjny, lawirujący w charakterze rządu francuskiego między komunistami a de Gaullem, nie potrafił zapewnić robotnikom przyzwoitego poziomu życia i na stałe zahamował proces inflacyjny. Marksisci odpowiadają, że rząd kapitalistyczny uczynił tego nie może i prawdopo-

Z NOTATNIKA

dobnie będą mieli rację. Dotychczas rząd ten odznacza się dużą inercją. 100 milionowe imperium nie wykazuje aktywności w żadnej dziedzinie. Handel zagraniczny oparty dawniej o luksusowe wyroby kurczy się i w ogóle trudno śledzić całość życia gospodarczego, choćby z tej przyczyny, że nie wychodzą żadne poważne pisma ekonomiczne.

Chodzę po kawiarniach i obserwuję roje ludzi zajmujących się czarną giełdą i pośrednictwami handlowymi. Policja co jakiś czas urządza na nich obławy, ale to bynajmniej nie likwiduje zjawiska, powszechnego zresztą w całej zachodniej Europie. W Anglii istnieje przymus pracy i ludzie nie zajmujący się żadną pracą a mający nie wiadomo skąd pieniądze nazywani są „spivami”. Policja ma obowiązek ich ścigać — w ciągu ostatniego roku złapano trzydziestu.

Zauważyłem, że dawni moi przyjaciele francuscy z inteligentko-mieszkańskich środowisk odbyli daleką drogę. Przed dwoma laty traktowali mnie jak reakcjonistę, dzisiaj zaczynają każdą rozmowę: „no, ty jako przedstawiciel demokracji wchodź, komunista itd.” I tak jak przed dwoma laty, nie pomagają żadne sprostowania. Są to procesy zdaje się nieuniknione.

Najwna tęsknota burżuazji francuskiej za spokojem i znalezieniem jakiegoś klucza do solidaryzmu klasowego znalazła swój zabawny wyraz w dowcipach speakera filmu francuskiego w dodatkach przedstawiających triumfalny wjazd sławnego boksera Cedrana do Paryża po zwycięstwie w Ameryce. Cedran przejechał otwartym samochodem obrzucając kwiatami przez cały Paryż i został przyjęty z największymi honorami w Hotel de Ville. Współczesna historia Francji zanotowała tylko dwa jeszcze takie triumfalne wjazdy. Tak witano Daladiera po powrocie z Monachium i de Gaulle gdy wkroczył do Paryża. Mówiąc o Cedranie rozentuzjadowany speaker woła: „Cedrana witają kwiatami bogaci mieszkańcy Pól Elizejskich i robotnicy przedmieścia Paryża, Cedran jednoczy cały naród — oto człowiek którego Francja potrzebuje!”

Kierowany nie tylko potrzebami estetycznymi byłem dziś na zbiórowej wystawie prac Vuillarda, drugiej w ogóle wystawie zbiorowej tego wielkiego malarza, który pracował w czysto i stronił od rozgłosu. Umarł jako starzec w 1940 r. a pierwsza jego wystawa zbiorowa odbyła się w 38 r. — Vuillard może być uznany za szczyt malarstwa mieszczańskiego, z tym że należy on do pokolenia w którym burżuazja nie była jeszcze dotknięta tragiczną świadomością końca. Jest to malarstwo dyskretne, matowe intymne. Szuka trudna, skupiona, wyrafinowana różniczkowanie barw i tonów zbliżonych np. wszelkich rodzajów szarości, sztuka subtelna, o specyficznym wdzięku klimatu ciepłoty, jakiejś czysto prywatnego życia. Zdarza się, że tematem jest portret przedstawiciela wielkiego świata burżuazji, ale w większości są to tematy przeciętne z potocznej go życia, jakieś wnętrze, martwa natura spotykana codziennie, kawałek ogródka i przede wszystkim matka, portrety matki artysty; prywatny, łagodny, pewny świat ludzki. Z przedmowy do katalogu dowiadyujemy się, że muzą Vuillarda była matka. Kobieta ta żyła 90 lat i codziennie rano budziła artystę. Dokładniej przyglądając się obrazom zauważymy, że Vuillard przez lat 50 maluje to samo wnętrze w którym nic się nie zmienia, że oddaje świat, który może przetrwać jak najsubtelniej, bo ten świat się nie zmienia, jest absolutnie pewny i trwały. Może poczucie trwałości i pewności świata i własnego w nim miejsca, — właściwe szczytowemu okresowi cywilizacji mieszczańskiej — jest niezbędne dla powstawania wielkich skupionych dzieł sztuki; jeśli tak to długo ludzkość będzie na nie czekać.

Sytuację, w jakiej znalazła się burżuazja francuska najlepiej maluje J. P. Sartre i własną osobą i dziełami. Jest to niewątpliwie talent nieprzeciętny i sam fakt, że budzi on jednaką odrazę w świecie katolickim jak i marksistowskim dowodzi jego wybitnej indywidualności. Pozwolę sobie przytoczyć fragment z wydanych w 1948 r. „Situations”, w którym przedstawiciel burżuazji Sartre występuje jako jej grabarz i tym samym jest w tej roli bardziej

Nasz Ruch

Przed drugą wojną światową było znane w Polsce „Wydawnictwo Polskie”, Rudolfa Wegnera, znajdujące się w Poznaniu.

Wielki rozgłos zdobył sobie cykl monografii p. t. „Cuda Polski” oraz „Biblioteka Laureatów Nobla”, wychodząca od 1921 roku pod redakcją dr Stanisława Lema.

Wszystkie wydawnictwa Wegnera odznaczały się świetnym doborem autorów i dzieł, doskonałą szatą graficzną, która nie tylko dorównywała wydawnictwom zagranicznym, ale niejednokrotnie znacznie je przewyższała. R. Wegner, miłośnik pięknej książki, miał wielkie plany wydawnicze. Rozpoczął zbiorowe wydanie dzieł Marii Rodziewiczówny, pod redakcją Zdzisława Dębickiego oraz edycję dzieł Józefa Weyssenhofa i cykl monografii historycznych.

Wydawnictwo znajdowało się u szczytu swojego rozwoju, gdy nastąpiła agresja hitlerowska na Polskę. Z największym uzuracją udało się

współpracownikom ocalać od zniszczenia kilka wagonów tych cennych wydawnictw i przewieźć do Warszawy. Stos w czasie okupacji tyle pięknych wydawnictw spotykałyśmy w naszych księgarniach.

W czasie powstania wydawnictwo podzieliło los wszystkich księgarni śląskich. Stos syplek popiołu, pozostał z całego dorobku.

Dopiero w ubiegłym roku Wydawnictwo R. Wegnera wznowiło swoją działalność w Warszawie. Ukazało się kilka tomów powieści Marii Rodziewiczówny, która cieszy się wciąż niesłabnącym powodzeniem, wśród szerokich rzesz czytelników.

Również „Biblioteka Laureatów Nobla” została wznowiona, jak dotąd na dobrym papierze. Choćby wymienić tylko książki Selmy Legerlöf: „Cudowna podróż”, „Tętnące serce” i „Gość Berling”.

Twórczość Bernarda Shawa reprezentowana jest przez „Miłość wśród artystów”, zaś R. Kipling ma już dwie

PODRÓŻY

przekonywujący niż katolik czy marksista:

Skarżąc się, że dzisiejszy pisarz francuski, jeśli nie jest wyraźnie pisarzem katolickim albo komunistycznym, może znaleźć we Francji tylko czytelników, nie znajdzie natomiast publiczności, daje Sartre taką charakterystykę świata francuskiej burżuazji:

„W 1780 roku klasa ciemniejszych była jedyną posiadającą ideologię i organizację polityczną; burżuazja nie posiadała ani stronniczości, ani własnej świadomości, pisarz pracował wprost dla niej, krytykując stare mity monarchii i religii, przedstawiając jej pewne pojęcia podstawowe, o zawartości przede wszystkim negatywnej, dotyczące wolności, równości politycznej czy habes corpus.

W 1850 r. w obliczu świadomej burżuazji zrodzonej z systematycznej ideologii, proletariats był bezkształtną, nieświadomą siebie masą, wstrząsana gniewem, daremny i rozpaczliwym, pierwsza międzynarodówka dotknęła go tylko powierzchownie; wszystko pozostawało do zrobienia i pisarz mógł zwrócić się wprost do robotników. Widzieliśmy, że nie wykorzystał okazji. W każdym razie służył interesom klasy uciemiężonej, nawet nie chcąc i nie wiedząc o tym, przez dokonywanie krytyki wartości burżuazyjnych. I tak, w jednym i drugim wypadku, okoliczności pozwalały mu świadczyć za uciemiężonym przed ciemniejszymi i rozbudzać w nich świadomość w uciemiężonym; istota literatury pozostawała w zgodzie z wymaganiami sytuacji historycznej. Ale dzisiaj wszystko się wywróciło: klasa ciemniejszych straciła swą ideologię, jej świadomość się chwieje, jej granice nie są już dokładnie określone, rozwiera się i woła pisarza o pomoc. Klasa wyszukiwana, ujęta w jedną partię, usztywniona euroką ideologią, staje się społeczeństwem określoną i zdecydowaną; już nie można się z nią skomunikować bez pośrednika.

Los burżuazji był związany z supremacją europejską i z kolonializmem. Traci ona swoje kolonie w chwili, gdy Europa traci panowanie nad swym przeznaczeniem; nie idzie już o prowadzenie wojen królewskich o naftę rumuńską czy kolej Bagdadu; przyszyły konflikt będzie wymagał wyposażenia przemysłowego, którego Stary Świat w swej całości nie jest w stanie dostarczyć. Burżuazja zaledwie może żywić iluzję, że zachowała możliwość wyboru sensu, z jakim będzie zjedzona. Wie już dzisiaj, że była przedstawicielką pewnego momentu historii Europy, pe-

wnego stadium rozwoju nauk technicznych i narzędzi i że rola jej nigdy nie była światowa. Zresztą posiadane przez nią poczucie własnej istoty i misji uległo zamazaniu: kryzysy ekonomiczne wstrząsnęły nią, podminowały i podmyły, wywołując szaleńcy, obszyny i obywatela wewnętrzne; w niektórych krajach wygląda ona jak fasada domu, którego wewnątrz zdmuchnęła bomba, w innych dużymi kawałkami obsuwała się w proletariats; nie można jej już określić ani posadymi dobrami, które w każdym dniu bardziej się jej wymykają, ani przez władzę polityczną, którą prawie wszędzie dzieli z ludźmi nowymi, wyrosłymi wprost z proletariats; to ona obecnie przedstawia wygląd amorficzny i galaretowaty, który charakteryzuje klasę uciemiężoną, przed zdaniem sobie przez nie sprawy ze swego stanu. We Francji odkrywamy, że jest ona spóźniona o pięćdziesiąt lat w narzędziach produkcji i organizacji ciężkiego przemysłu: stał nasz kryzys urodzin, niewątpliwie znak regresji. W dodatku czarny rynek i okupacja spowodowały przejście 40 proc. jej bogactw w ręce nowej burżuazji, nie mającej ani obyczajów, ani zasad, ani celów dawnej burżuazji, ale jeszcze wyszukująca. Burżuazja europejska rządzi z tygodnia na tydzień i przy pomocy nielichych środków: we Włoszech trzyma w szachu świat pracy; gdzie indziej robi się niezastąpiona, ponieważ dostarcza kadr technicznych i personelu administracyjnego; gdzie indziej jeszcze rządzi dzieląc i wreszcie, przede wszystkim, era rewolucji narodowych jest zamknięta. Przedmiot wszelkich życzeń, podzirywana przez USA, przez Kościół, w zależności od zmiennego szczęścia w grze dyplomatycznej, burżuazja nie może ani zachować ani stracić swej władzy bez pomocy sił zewnętrznych, to „chorz olśniewień” współczesnej Europy, długo może trwać jej agonia.

Z miejsca jej ideologia się zawała: usprawiedliwiała ona własność przez pracę, ale również przez tę powolną osmozę, która rozczyniała duszy posiadaczy cnoty rzeczy posiadanych, w jej oczach posiadanie dóbr było zasługą i najsubtelniejszą kulturą osobistą. A właśnie własność staje się symboliczną i kolektywną, nie posiada się już rzeczy, ale ich znaki, albo znaki ich znaków; rozwijały się argumenty „pracy-zasługi” i „kultury-użyteczności”. Przez nienawiść do tróstronów i do samopoczucia, które rodzi własność abstrakcyjną, wielu zwróciło się w stronę faszystwu. Przyszłość wołany ich życzeniami i potem zniknął, przedstawiciele burżuazji nie na tym nie zyskali. Jeśli posiadali jeszcze, to zachłannie, ale bez radości; nieledwie, przez wyczerpanie skłonni byłiby traktować

bogactwo jako nieusprawiedliwiony stan rzeczy; stracili wiarę

Ustrój demokratyczny, który był ich dumą, a który zawalił się przy pierwszym uderzeniu, nie budzi już w nich wielkiego zaufania, a ponieważ narodowy socjalizm zawalił się z kolei w chwili gdy mieli się do niego przyłączyć, nie wierzą już ani w republikę, ani w dyktaturę. Ani w postęp: to było dobre, gdy wznosiła się ich klasa, obecnie, gdy chyli się ku upadkowi, nie ich z tym pojęciem nie może łączyć; byłoby dla nich rozpaczliwe myśleć, że postęp zapewnią inne klasy i inni ludzie. Ich praca tak jak poprzednio pozostawia im bezpośredni kontakt ze światem rzeczy, ale dwie wojny okazały im odkrycie zamięszania, krew i łyż, przemoc i zło. Bomby zniszczyły nie tylko ich fabryki; zmiotły również ich idealizm. Utylitaryzm był filozofią oszczędności; traci wszelki sens, gdy oszczędności zostały skompromitowane inflacją i zagrożone bankrutstwem. Horyzont świata — jak mniej więcej mówi Heidegger — odsłania się w miarę kruszenia się narzędzi. Jeśli posługujemy się jakimś narzędziem, to w celu wykonania jakiegoś przemian, która sama z kolei jest środkiem do otrzymania jakiegoś innego, ważniejszego i tak dalej. W ten sposób zostajemy włączeni do łańcucha środków i osiągnięć, których ostateczne rezultaty nam się wymykają i zańdado pochłonięci naszą działalnością nad szczegółami aby postawić załadnienie celów ostatecznych. Gdy narzędzie ulega zniszczeniu, działalność zostaje zatrzymana i cały łańcuch skacze nam do oczu. Podobnie z synem burżuazji, jego narzędzia są zniszczone, widzi łańcuch i zna bezzasadność jego celów; usprawiedliwiała go dopóki, nie widząc ich wierzył w nie, pracując ze spuszczoną głową nad najbliższymi ogniwami; w chwili gdy rzucają mu się w oczy odkrywa, że jest nieusprawiedliwiony; świat cały się odsłania i jego opuszczenie w świecie: rodzi się trwoga. Wstyd również; to, że burżuazja zdradziła trzy razy, oczywiście jest nawet dla tych, którzy ją sądzą w imię jej własnych zasad: w Monachium, w maju 40, pod rządami Vichy. Oczywiście, odłapała się potem: wielu kolaborantów pierwszego okresu weszło do ruchu oporu w 42, zrozumiaławszy, że muszą walczyć przeciwko okupantom w imię nacjonalizmu mieszczańskiego, przeciw nacjonalizmowi, w imię demokracji mieszczańskiej. Burżuazja nie zapomniała niczego: nosi jeszcze ranę, którą jej zadał jeden z jej synów, ten, z którego była najbardziej dumna: przez ekazanie Petaina na dożywnotnie więzienie, jakby sama siebie posiadała pod kłosem; mogłaby przyjąć swój rachunek powiedzenie Pawła Chacka, oficera, katolika i syna burżuazji, który za słone wykonywanie rozkazów marszałka Francji, katolika i syna burżuazji, został postawiony przed trybunał mieszczański, pod rządami generała, katolika i syna burżuazji, i który ożmieniały tym obrotem rzeczy, mamrotał bez przerwy podczas procesu: „Nie rozumiem”. Rozdarta, bez przyszłości, bez gwarancji i bez usprawiedliwienia, stawia się obiektywnie „chorz człowiekiem”, burżuazja subiektywnie weszła w fazę niezdolności świadomości. Wielu jej członków jest zagubionych, lawirują między gniewem i strachem, tymi dwoma uczuczkami; nadżenski usiłują bronić, jeśli nie swoich dóbr, które często rozsypały się w proch, to przynajmniej prawdziwych zdobyczy burżuazji: powszechności praw, wolności wypowiedzi, habes corpus. Ci tworzą naszą publiczność. Naszą jedyną publiczność. Zrozumieli czytając stare książki, że literatura z samej swej istoty stawiała zawsze po stronie wolności demokratycznej. Zwracają się do niej, błagają ją aby im dała rację do istnienia i do nadziei, aby im dała nową ideologię; nigdy może od XVIII stulecia nie oczekiwano tyle od pisarza.

Nie mamy im nic do powiedzenia. Należa wbrew sobie do klasy ciemniejszych. Ofiary niewątpliwie i niewinne, ale mimo to tyrani jeszcze i obciążeni winą. Wszystko, co możemy uczynić, to odbijać w naszych lustrach ich nieszczęsną świadomość: to znaczy posuwać trochę naprzód proces rozkładu ich zasad; spada na nas niewdzięczna rola wyprawiania im ich błędów, w chwili gdy stały się przekleństwami. Sami mieszczaństwo, poznaliśmy mieszczańską bezradność i myśmy mieli duszę rozdarta, ponieważ jednak nieodłączna od nieszczęśliwej świadomości jest potrzeba znalezienia wyjścia ze stanu nieszczęścia, nie możemy spokojnie trwać w łonie naszej warstwy, a jako że już nie jest dla nas możliwe wyjście z niej przy pomocy jednego uderzenia skrzydeł i nadanie sobie pozorów pasorzytniczej arystokracji, trzeba abyśmy się stali jej grabarzami, nawet jeśli się narażamy na pogrzebanie razem z nią.

Zwracamy się do klasy robotniczej, która by mogła dzisiaj tak, jak burżuazja w 1780 roku, sformować pisarzowi rewolucyjną publiczność. Publiczność jeszcze potencjalną ale szczególnie uważną. Robotnik z roku 1947 posiada kulturę społeczną i zawodową, czyta pisma techniczne, związkowe i polityczne, posiada świadomość własną, swego miejsca w świecie i mógłby dużo nas nauczyć, przeżył wszystkie wielkie zdarzenia naszych czasów, w Moskwie, w Budapeszcie, w Monachium, w Madrycie, w Stalingradzie, w partyzantkach; w chwili, gdy my w szlucie pisania odkrywamy wolność pod jej dwoma aspektami: negacji i wyprzedzenia twórczego, robotnik szuka sam wyzwolenia i za jednym zamachem wyzwolenia dla wszystkich ludzi od ucisku, na zawsze. Uciskana literatura jako negacja może mu przedstawiać przedmiot jego gniewu; wytwórca i rewolucjonista jest on „par excellence” przedmiotem literatury czytu. Naszym wspólnym z nim obowiązkiem jest zaprzeczanie i budowanie; domaga się on prawa do robienia historii w chwili, gdy mu odkrywamy naszą historyczność. Nie przyswoiliśmy sobie jeszcze jego języka ani on tym bardziej naszego; ale znamy już środki aby doń dotrzeć: trzeba, wykażę to dalej, zdobyć „mass media” i nie jest to tak trudne. Wiemy również, że w Rosji dyskutuje on bezpośrednio z pisarzem i że ukazał się tam nowy stosunek publiczności z autorem, który nie jest ani biernym oczekiwaniem, ani wyspecjalizowaną krytyką klerka. Nie wierzę w „misię” proletariats, ani w to, że korzysta z jakiejś szczególnej łaski stanu; składa się z ludzi uczciwych i nieuczciwych którzy mogą się zagubić. Ale nie trzeba wahać się przed stwierdzeniem, że los literatury związanej jest z losem klasy robotniczej.

Tyle Sartre, człowiek, który mimo tych wypowiedzi, jest w tej chwili niepodzielnym władcą dusz inteligentno-burżuazyjnych środowisk Paryża. Widziałem anty-komunistyczną sztukę Sartre'a „Les mains sales”, która co wieczór jest owacyjną manifestacją solidarności inteligentno-burżuazyjnej publiczności z autorem. Tendencyjna i prześladowana ideologicznymi dyskuszjami sztuka, posiada duże walory sceniczne i momenty silnych napięć dramatycznych. Jak widać z przytoczonego fragmentu z „Situations”, Sartre nie jest pozbawiony pewnego wdzięku w wyrażaniu swoich myśli, ale równocześnie dla oryginalności języka, wyraża i zwrotność, zawsze gotów jest poświęcić jasność i czytelność konstrukcji intelektualnej. Jest to proza niechlujna, nerwowa. Poświęca też wiele dla paradoksu. W cytowanym fragmencie dobija burżuazję, a w „Les mains sales”, dla odmiany ośmieszaja kompleks niższości inteligenta w stosunku do proletariatsa. Jest tam świetna scena, gdy młody adept partii, syn bogatych rodziców, zachwyc się swoim wodzem, robotniczym przywódcą. „Jak on węża kawe, to czuć, że to jest kawa” — woła.

Młodzi adepci samego Sartre'a tworzą najbardziej wykojejoną i błaznąką młodzież Paryża. W kawiarni Flora, gdzie kawa jest dwa razy droższa niż gdzie indziej i w różnych drogich nocnych lokalach, których Sartre jest współwłaścicielem, różni amerykańscy snobi wydają pieniądze i podziwiają groma-

dy młodych egzystencjalistów, odznaczających się potrojnymi podszyciami u butów, długimi welwetowymi marynarkami, zamglonym, smutnym spojrzeniem, włosami spadającymi na kołnierzy i brodami puszczonej na wiatr.

Po rozprawieniu się z burżuazją Sartre rozprawia się z katolikami i komunistami. Ma rację. Młodzież komunistyczna jest znacznie bliższa młodzieży katolickiej niż którakolwiek z nich jego adeptom. Ale, mimo zasadniczych różnic społecznych między przedwojenną Polską a dzisiejszą Francją, sartrowska analiza burżuazji francuskiej wytrzymuje próbę przeniesienia jej na teren polski. Burżuazja polska była zawsze warstwą słabszą i mniej wyrobioną a tym samym trudniej jej przyszło uświadomić sobie własną sytuację. Śmiertelnym ciosem dla burżuazji polskiej, była utrata przez nią podstaw finansowych. Okazało się wtedy, że poza własnym stanem posiadania, nie jest strażniczką żadnych wartości. Prosto nie było czego bronić.

Dlatego może część burżuazji polskiej nie miała poczucia katastrofy w okresie okupacji. W walkę z Niemcami była procentowo najmniej zaangażowana, większość robiła dobre interesy i powiększała swój stan posiadania. Ponieważ jednak eksterminacja niemiecka dotyczyła całego narodu, zagłada fizyczna groziła im każdego dnia, każdego dnia groziła im śmierć gorsza niż członkom podziemia, bo przypadkowa, nie wiadomo za co. Mimo to samopoczucie mieszczaństwa było na ogół dobre, nie przeżywało ono żadnych kryzysów psychicznych, bo jego stan posiadania nie był zagrożony. Jako klasa czuli się pewnie. Dzisiaj, resztki polskiej burżuazji przeżywa spazm, tego co Sartre określa mianem: „przeżycie nia burżuazyjne”, mimo że życiu ich nie zagraża nic więcej, jak innym mieszkającym naszego podmiłowanego globu, a usunęły się tylko spod nóg podstawy finansowe. Nieporównanie węższy od francuskiego, ale jednak obszerny świat polskiej burżuazji, świat zróżniczkowany w sposób zawyły i nieprzekraczalny jeszcze dziesięć lat temu, zwał się dzisiaj do garstki prywatnych znajomych i to takich znajomych, którzy gdyby nie proces rewolucyjny, nigdy nie mogłoby się spotkać na równej stopie w polskim przedwojennym życiu. Dziś przeżywają wspólnie spóźniony spazm sartrowski. Wycieczki polskie oderwały mnie od spraw Paryża, a chciałem powiedzieć jeszcze, że spotkałem na obiedzie znajomego Francuza komunistę, który przywitał mnie czule i po chwili rozmowy oświadczył, że jednak najmilej żyje się we Francji.

Dominik Horodyński

Wydawniczy

pozycje „Kapitan zuch” i „Stalky i S-Ia”, zapowiadane są również „Legendy Anglii”. Z Maeterlincka wydano „Inteligencję kwiatów”.

Pierwsze miesiące tego roku przyniosły pierwsze tomy R. Rollanda z cyklu „Dusza zaczarowana”, w pięknej szacie graficznej w trójbarwnej okładce z drzeworytem prof. Kuczynskiego. Są to tomy „Anetka i Sylwia” i „Lato”. W przyszłym miesiącu ukaza się dwa następne „Matka i syn” i „Zwiastunka”.

Wydawnictwo rozpoczęło wypuszczać pierwsze tomy zbiorowego wydania dzieł Józefa Weyssenhofa. Wznawiono „Sobola i panne”, a następnie ukaza się „Puszcz”. Tomy te ukazują się bardzo powoli.

Znacznie szybciej posuwa się wydanie dzieł Teodora Tomasza Jeża, które rozpoczęła Spółdzielnia Wydawnicza „Oświatowa „Czytelnik” w ubiegłym roku.

Dzisiaj możemy zanotować już ukaza-

nie się następujących tomów: „Narzeczona Harambaszy”, „Ci i tamci”, „Sandor Kowacz”, „Uszki” t. I i II. „W zaraniu”, „Miłość w opałach” — powieść z dziejów Krocacji, oraz „Niezaradni”. Teksty powieści oparte są na pierwodrukach, a nad wydaniem czuwa prof. dr Wiktor Hahn, który każdy tom zaopatrzył w objaśnienia. Ciekawe powieści Jeża cieszą się dużą poczytnością i są naprawdę doskonałą lekturą.

Świetnym uzupełnieniem tego wydania będzie monografia Teodora Tomasza Jeża, pisarza działacza i żołnierza, którą napisał Kazimierz Kozniowski, a którą wyda Państwowy Instytut Wydawniczy.

Przed ostatnią wojną ukazały się świetne pamiętniki T. T. Jeża (Zygmunta Miłkowskiego), dziś zupełnie wyczerpane. Myślę, że nasi wydawcy powinni się tym zająć i uprzyścić nam, a na pewno tego nie pożałują.

Stanisław Podlewski

Każdy katolicki działacz społeczny
KĄDZY KATOLIK
musi
przeczytać książkę
Ks. F. Mirka
ZARYS SOCJOLOGII

Wyd. Katolickiego Uniwersytetu
Lubelskiego 1948 r.
Do nabycia w księgarniach
katolickich.

TYDZIEŃ KULTURALNY

KU CZCI J. SŁOWACKIEGO

SETNA rocznica śmierci Juliusza Słowackiego będzie uroczystie obchodzona w całym kraju. Protektorat nad obchodem objął Prezydent Rzeczypospolitej Bolesław Bierut. Utworzony został Ogólnopolski Komitet Obchodu, na którego czele stanął prezes rady ministrów Józef Cyrankiewicz.

W skład Komitetu Wykonawczego weszli: minister kultury i sztuki S. Dybowski — jako przewodniczący oraz wiceminister kultury i sztuki W. Sokorski i wiceminister oświaty E. Krassowska — jako wiceprzewodniczący.

Ramowy program obchodu Roku Słowackiego przedstawia się następująco:

w dniu 3 bm. w rocznicę śmierci poety odbyło się w Państwowym Teatrze Polskim uroczyste przedstawienie „Fantazego”, poprzedzone przemówieniem Jarosława Iwaszkiewicza.

W dniu 4 bm. odbyła się w tym samym teatrze Akademia Inauguracyjna.

W okresie od 10 kwietnia do końca bieżącego roku odbywać się będą akademie rocznicowe w całym kraju.

Teatry w całej Polsce wystawią w ciągu Roku Słowackiego następujące utwory poety: „Balladyna”, „Złota Czaszka”, „Fantazy”, „Mazepa” i „Maria Stuart”. W Warszawie przewidziane jest wystawienie „Balladyny” (PTP), „Mazepy” (Teatr Rozmaitości) oraz „Marii Stuart” w Teatrze Klasycznym (wznowienie). Ponadto szereg teatrów wystawi graną już w Warszawie sztukę W. Kubackiego „Krzyk Jarzębiny”, poświęconą Ludwikowi Spitznagłowi, przyjacielowi Słowackiego.

W Operze Warszawskiej przewidziane jest wystawienie „Goplały” Zelenieckiego.

W dziale wydawniczym projektowane jest wydanie nakładem Ossolineum „Dzieł zbiorowych Słowackiego”, Antologii wierszy o Słowackim pt. „Poezja polska w hołdzie Słowackiemu” i w opracowaniu prof. W. Hahna, powieści biograficznej o Słowackim, pióra Pawła Herza.

W Muzeum Narodowym w Warszawie urządzona będzie na jesieni wystawa, poświęcona Słowackiemu. Zorganizowana też będzie wystawa objazdowa. Inna mniejsza wystawa poświęcona Słowackiemu, przeznaczona dla odległych wsi — wyruszy w specjalnym autobusie z przyczepką. Te ostatnie wystawy połączone będą z audycjami z płyt (recytacje i pieśni do słów poety).

Przewidziane jest wypuszczenie pocztowego znaczka rocznicowego oraz wydanie w dużym nakładzie portretów poety i pocztówek z jego podobizną.

Program Roku Słowackiego przewiduje poza tym zorganizowanie imprez masowych i widowisk, m. in. na Wiśle w Noc Świętojańską. Ta ostatnia impreza byłaby poświęcona Mickiewiczowi, Słowackiemu, Chopinowi i Puszciniowi.

Komitet Obchodu opracowuje też koncepcję pomnika Słowackiego w Warszawie.

WYSTAWA AUTOGRAFÓW SŁOWACKIEGO OSSOLINEUM

W setną rocznicę zgonu Juliusza Słowackiego została otwarta w Ossolineum wrocławskim wystawa autografów wiersza polskiego. Otwarcia wystawy dokonał prof.

Knot, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej, kreśląc sylwetkę Słowackiego i historię jego dwukrotnego pobytu we Wrocławiu oraz charakterystykę twórczość wielkiego poety.

NOWY DZIAŁ MUZEUM NARODOWEGO

W dniu 4 bm. w Muzeum Narodowym otwarto nowourządzony stały dział Sztuki Zdobniczej.

Dział Sztuki Zdobniczej Muzeum Narodowego zajmował przed wojną 20 sal z ogólnej liczby 80. Wojna i okupacja niemiecka zredukowały zbiory do ok. 50 proc. stanu przedwojennego. Stan ocalałych zabytków pozostawiał wiele do życzenia, toteż trzeba było obecnie uprzęścić społeczeństwu nowy dział Sztuki Zdobniczej.

Jeśli liczba wystawionych zabytków mimo strat wojennych jest dziś stosunkowo dość znaczna, zawdzięczać to należy uzupełnieniu zbiorów Muzeum pozostałości ko-

lekcji zarówno publicznych, jak prywatnych, które bądź przeszły na własność Muzeum, bądź też złożone zostały w charakterze depozytów. Pokazną liczbę zabytków uzyskało Muzeum z mienia ponemieckiego.

Nowourządzony dział Sztuki Zdobniczej zajmuje 7 sal oraz podest do nich prowadzący. Na podestzie znajdujemy gobelin flamandzki z XVI w. wspaniały gobelin brukselski z początku XVIII w., rzeźbione i intarsjowane skrzynie z w. XVI, wielkie szafy z w. XVII i XVIII, bogato inkrustowane, portrety kostiumowe z XVII i XVIII wieku etc.

Układ eksponatów w salach jest dwójakiego typu. Cztery pierwsze sale zawierają zespoły przedmiotów różnorodnych w układzie chronologicznym, tworzącym rodzaj wnętrza.

Salę następną grupują eksponaty jednorodnej, wiążące się z sobą

KONKURS NA WYSTAWIENIE SZTUK RADZIECKICH

W celu pogłębienia znajomości twórczości dramatycznej klasyików rosyjskich i współczesnych pisarzy radzieckich, Ministerstwo Kultury i Sztuki organizuje konkurs na wystawienie sztuk radzieckich.

Konkurs rozpoczyna się dnia 1 kwietnia 1949 r. i zostanie zakończony festiwałem, który odbędzie się w Warszawie w czasie od 15.X do 1.XII br.

W konkursie mogą brać udział szkoły dramatyczne i wszystkie zawodowe teatry dramatyczne, które w czasie od 1 stycznia 1949 r. do 1.XII 1949 wystawiły i wystawią sztukę rosyjską lub radziecką.

Termin zgłaszania sztuki na konkurs upływa z dniem 15 kwietnia 1949 r.

Skład 19-osobowego jury konkursu, które powołał Min. Kultury

i Sztuki, będzie ogłoszony w terminie późniejszym. Jury w co najmniej 3-osobowych zespołach będzie objeżdżało teatry i oceniało spektakle.

Orzeczenie jury podlega zatwierdzeniu przez ministra kultury i sztuki.

Zespoły wyróżnionych teatrów zostaną zaproszone do Warszawy w celu wystawienia sztuki w ramach Festiwalu.

Przewidziane są następujące nagrody: zespołowa, za reżyserię, za najwybitniejszą kreację aktorską, za scenografię, za najlepszy przekład oraz nagrody ufundowane przez władze lub instytucje.

WIECZÓR TWÓRCZOŚCI KAROLA SZYMANOWSKIEGO

W 12 rocznicę zgonu Karola Szymanowskiego w siedzibie Związku Kompozytorów Polskich odbył się wieczór, poświęcony twórczości znakomitego kompozytora. Wieczór zgromadził licznych przedstawicieli świata muzycznego i artystycznego stolicy. Słowo wstępne, poświęcone pamięci Szymanowskiego i jego roli w muzyce polskiej, wygłosił prezes Związku Kompozytorów Polskich, Z. Myciński.

W części koncertowej prof. Z. Drzewiecki (fortepian) odegrał kilka mazurków, etud oraz fragmenty z „Masek”, I. Dubiska (skrzypce) wykonała przy akompaniamencie prof. J. Lefeldy „Noc turn” i „Tarantellę” oraz „Zródło Aretuzy” i wreszcie M. Drewniakówna (sopran) odśpiewała kilka pieśni kupieckich oraz „Pieśń miłosne Hafisa”.

PROMOCJA DOKTORSKA NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM

W dniu 1 kwietnia br. odbyła się na Uniwersytecie Warszawskim uroczysta promocja doktorska 12 wychowanków uczelni.

Tytuł doktora otrzymali z Wydziału Lekarskiego — Wiktor Arkin, Wilhelm Wiktor Pol, Edward Wilhelm Drescher i Irena Hausman; z Wydz. Prawa — Marian Weralski; z Wydz. Humanistycznego — Leon Joachimowicz, Jerzy Adam Michalski i Krzysztof Dunin-Wasowicz; z Wydz. Matematyczno-Przyrodniczego — Roman Stanisław Ingarden; z Wydz. Teologii Katolickiej — ks. Józef Michalski i ks. Mikołaj Sasinowski; z Wydz. Teologii Ewangelickiej — ks. Józef Berger.

WYSTAWA JUBILEUSZOWA STAN. CZAJKOWSKIEGO

W dniu 6 kwietnia br. w siedzibie SARP otwarto jubileuszową wystawę obrazów znanego pejzażyisty Stanisława Czajkowskiego, obchodzącego 50-lecie pracy artystycznej.

Stanisław Czajkowski urodził się w 1878 r. w Warszawie. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, następnie studiował w Paryżu i we Włoszech. Po powrocie do kraju poświęcił się pejzażowi polskiemu. Został członkiem Towarzystwa „Sztuka” w Krakowie. Wystawiał obrazy swoje w Warszawie i w innych miastach polskich oraz zagranicą. Otrzymał „Dyplom Honorowe” Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie i Za chęty w Warszawie. Zdobył szereg nagród krajowych i zagranicznych.

W 1937 r. zdobył Grand Prix na międzynarodowej wystawie w Paryżu. Przed wojną prowadził kurs pejzażu w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Rok Chopinowski 1949

W KRAJU

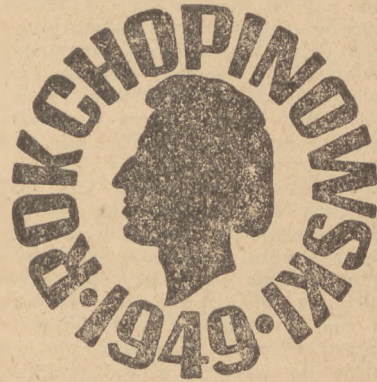
KOMITET Uczczenia Roku Chopinowskiego w ŁODZI i w woj. łódzkim zorganizował ostatnio na terenie Łodzi i województwa kilka imprez muzycznych, których zadaniem było zapoznanie szerokiego społeczeństwa z twórczością Fryderyka Chopina.

Po koncercie inauguracyjnym, w sali Filharmonii Miejskiej, z udziałem orkiestry Filharmonii, Marii Wilkomirskiej i Barbary Hesse odbyły się dwa koncerty Władysława Kędry, z których jeden specjalnie dla robotników. W sali Centralnego Robotniczego Domu Kultury odbył się koncert, w którym wzięli udział soliści i łódzka orkiestra symfoniczna. Koncert ten był przeznaczony również dla świata pracy. Zorganizowano ponadto dwa koncerty dla młodzieży pracującej w przemyśle bawełnianym i dla młodzieży pracującej w przemyśle konfekcyjnym. W koncertach tych wzięli udział E. Przylecki (fortepian), A. Winiarska i H. Bacewiczowa (śpiew), F. Wiesenberg i K. Bacewicz (prelekcja). W tym samym okresie odbyły się koncerty chopinowskie w Pabianicach (recital fortepianowy Z. Szymanowicza), w Skierniewicach i Łowiczu dla młodzieży szkolnej i dla dorosłych, w Tomaszowie Mazowieckim oraz w Wilanowie pod Tomaszowem dla robotników Wilanowskiej Fabryki Sztucznego Jedwabiu.

W Łodzi Komitet Roku Chopinowskiego zainicjował poza tym cykl audycji dla uczącej się młodzieży od piątej klasy szkoły podstawowej do drugiej licealnej. Audycje obejmują około 60 tys. uczącej się młodzieży.

Staraniem Wydziału Kultury i Sztuki Zarządu m. st. WARSZAWY otwarta będzie w kwietniu b. r. w sali Rady Miejskiej przy ul. Chmielnej wystawa chopinowska pamiątek i fotografii, związanych z życiem i działalnością wielkiego kompozytora. Będzie to wystawa wędrowna, która objeździe dzielnicę robotniczą Warszawy, zaznajamiając społeczeństwo z historią twórczości i życiem genialnego muzyka.

**



Z okazji Roku Chopinowskiego Instytut Fr. Chopina w Warszawie wydał 2 serie pocztówek po 36 sztuk każda, z reprodukcjami portretów Chopina, jego rodziców i przyjaciół, facsimile autografów i widokami Żelazowej Woli, Warszawy i innych miejscowości, w których żył i tworzył Chopin, wreszcie z reprodukcjami różnych pamiątek po Chopinie. Ostatnio nakładem Instytutu wyszedł z druku portret Chopina.

WE WŁOSZCZACH

W związku z setną rocznicą zgonu Chopina odbędzie się w Rzymie z inicjatywy stowarzyszenia „Un'ora di Musica” cykl 12 koncertów, w których wykonane będą wszystkie dzieła Fr. Chopina w kolejności chronologicznej ich powstania. W imprezie tej weźmie udział z górną 30 pianistów włoskich z Arturo Benoit i Michelangeli na czele.

Na jednym z koncertów orkiestry symfonicznej Akademii Sw. Cecylii wykonany został pod dyrekcją Mateusza Glińskiego utwór Chopina Largo Es-dur, ogłoszony niedawno przez dr L. Bronarskiego i zinstrumetowany na wielką orkiestrę przez M. Glińskiego.

Na półkach księgarskich w Rzymie ukazała się nowa biografia Chopina, pióra Virgilio Terenzio (wyd. Laterza). Wkrótce wyjdą z druku Listy Chopina w tłumaczeniu i ze wstępem M. Glińskiego.

W BELGII

W Brukseli utworzony został pod protektoratem królowej Elżbiety komitet Roku Chopinowskiego. W skład komitetu weszli m. in.: premier i mini-

ster spraw zagranicznych P. H. Spaak, poseł Rzeczypospolitej A. Krajewski, minister oświaty C. Hysmans, prezes Towarzystwa Przyjaźni Belgijsko-Polskiej C. de Thoren oraz czołowi przedstawiciele świata kulturalnego i artystycznego.

Z inicjatywy belgijskiego komitetu Roku Chopinowskiego Radio Belgijskie do końca b. m. nada 50 koncertów chopinowskich, a w brukselskim Pałacu Sztuk Pięknych i Konserwatoriach Brukseli, Leodium i Antwerpii odbędą się koncerty muzyki chopinowskiej.

Na mocy zarządzenia belgijskiego ministra oświaty we wszystkich szkołach państwowych w ramach t. zw. popołudniówek intelektualnych odbędą się uroczyste akademie ku czci Chopina.

Komitet chopinowski w Belgii zamierza wydać medal pamiątkowy. Jeden z numerów belgijskiego organu Związku Muzyków Belgijskich poświęcony będzie Chopinowi.

W maju b. r. J. Iwaszkiewicz wygłosi w brukselskim Pałacu Sztuk Pięknych odczyt o życiu i twórczości Chopina.

W WASHINGTONIE

W obecności około 500 osób odbył się w ambasadzie polskiej w Waszyngtonie pierwszy z cyklu koncertów w ramach Roku Chopinowskiego.

Wykonawcą programu był znany pianista Jakub Gimpel, jeden z laureatów konkursu chopinowskiego w Warszawie. Koncert spotkał się z gorącym przyjęciem publiczności, wśród której było wielu członków kongresu USA, korpusu dyplomatycznego, wyższych urzędników Departamentu Stanu, instytucji międzynarodowych i świata muzycznego.

Na koncercie obecna była delegacja polska na konferencję w obronie pokoju, odbywającą się w Nowym Jorku.

Koncert spotkał się z bardzo życzliwą krytyką prasy muzycznej. W cyklu koncertów chopinowskich, które odbędą się w roku bieżącym w USA, przewidziany jest również wielki koncert symfoniczny.

REDAKCJA, ADMINISTRACJA i ZESPÓŁ „DZIŚ i JUTRO”

Sklada wszystkim P.T. Prenumeratorom, Czytelnikom i Sympatykom naszego pisma serdeczne

Życzenia Świąteczne

Andrzej Micewski

NOWA CENNA POZYCJA

DWIE SPRAWY

Dwie są sprawy wymagające szczególnego podkreślenia przy omawianiu problematyki nauk społecznych. Pierwszą jest prawda, że pomysłowy, pokojowy, wolny od wojen, tragicznych załamania i konfliktów społecznych rozwój ludzkości zależy od wyrównania rażącej dysproporcji między postępem techniki a etyki, oraz między rozwojem nauk matematycznych i przyrodniczych a rozwojem nauk humanistycznych i społecznych. Inaczej mówiąc, ludzkość coraz bardziej zwraca się do nauk społecznych i jest pod ich urokiem. Powoduje to bezpośrednio związanie z życiem tych nauk oraz nadzieję, że ich rozwój służyć będzie wyjaśnianiu zachodzących a tak dziś skomplikowanych procesów społecznych i budowaniu nowych, doskonalszych form życia zbiorowego.

Drugą sprawą godną podkreślenia jest teza o obiektywnym, wyjaśniająco-opisowym, a nie normatywnym charakterze nauk społecznych, które ograniczają się do ustalenia istoty, treści, formy, przebiegu lub rozwoju zjawisk czy instytucji społecznych, stwierdzają istnienie określonych faktów, praw czy tendencji, uchylając się od bezpośredniej ich oceny.

Powyższe sformułowanie nie jest bynajmniej równoznaczne z postulatem odrywania nauk społecznych, np. nauk prawnych, od istniejącej konkretnie rzeczywistości społeczno-gospodarczej i kulturalnej w dziedzinie zupełnie abstrakcyjnej. Stanowisko takie byłoby niesłuszne, gdyż powiązanie nauk społecznych z rzeczywistością zawsze istnieje mało — one się z tej rzeczywistości w dużej mierze wywodzą.

Chodzi mi jednakże w wyżej sformułowanej tezie o jak najsilniejsze podkreślenie różnicy między nauką a ideologią. Ta ostatnia bowiem, chcąc być współczesną adekwatną i społecznie przydatną musi opierać się na ostatnich zdobycach nauki, na jej obiektywnym, informacyjnym i wyjaśniającym opisie istniejącego stanu rzeczy, jego przyczyn i przewidywanych następstw. Z chwilą jednak przekroczenia granic opisu i wyjaśniania a wejścia w zakres oceny istniejącego porządku i chęci normowania go lub pełnego przekształcenia, kończy się rola nauki i mamy do czynienia z czystą ideologią. Niepoważny byłby spór, co jest cenniejsze — nauka czy ideologia, badacz naukowy czy działacz ideowo-polityczny? W skomplikowanej strukturze współczesnego świata nieodzowne są wszystkie dziedziny, potrzebni surowi, obiektywni naukowcy i pełni dynamizmu działacze. Tych i tamtych winna cechować miłość człowieka, ona ma być motorem ich twórczości. Rola nauki w konstruowaniu ideologii jest niesłychana, ona daje obiektywizm wyboru rozwiązań i strzeże od fanatyzmu. Ale uczciwość intelektualna wymaga jasnego rozróżnienia tych dwu dziedzin.

NOWA CENNA POZYCJA

Dwie te powyżej w wielkim skrócie zarysowane prawdy narzuciły mi się w sposób specjalnie wyrazisty przy czytaniu nowego, cennego wydawnictwa Towarzystwa Naukowego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, pierwszego tomu „Roczników Nauk Społecznych”.¹⁾ Rozumienie przez wydawców i redaktorów „Roczników” wielkiej roli nauk społecznych dla współczesnej problematyki światowej i

troska ich o zintensyfikowanie twórczości naukowej w dziedzinie prawa, ekonomii i socjologii, oraz prawdziwy, czysty, obiektywno-naukowy charakter rozpraw zamieszczanych w „Rocznikach” — oto dwie chlubne cechy wydawnictwa. Trzecią niemniej chlubną jest oryginalność, aktualność i wysoki poziom naukowy zamieszczanych prac oraz staranność w przygotowaniu całego pomocniczego materiału naukowego zawartego obficie w wydawnictwie. Wreszcie należy jeszcze pochwalić samo rozwiązanie materiału i zewnętrzne wykonanie przyjemnego dla oka tomu „Roczników”, która to cecha charakteryzuje wszystkie wydawnictwa Towarzystwa Naukowego KUL.

Mówiąc o formalnych walorach wydanego tomu warto pochwalić jeszcze szczególnie trafny pomysł umieszczania po każdym rozdziale „Rocznika” krótkiego jego streszczenia w języku angielskim, co da szansę większego spopularyzowania dorobku polskich nauk społecznych zagranicą i uprzyścipleni ewentualne tłumaczenia.

TREŚĆ PIERWSZEGO TOMU

Omówmy wreszcie pokrótce materiały składające się na treść pierwszego tomu „Roczników Nauk Społecznych”.

Składa się na nią sześć rozdziałów: 1) Nekrologia, 2) Rozprawy, 3) Dział sprawozdawczy, 4) Recenzje, 5) Sprawozdania z prac członków Wydziału Nauk Społecznych Tow. naukowego KUL, 6) Przegląd Bibliograficzny.

NEKROLOGIA

Ciekawy ten dział, zamieszczony na początku tomu, który będąc pierwszym po wojnie, ma między innymi za zadanie podsumować straty katolickiej nauki społecznej w Polsce w latach 1939—1945, zawiera 5 prac biograficzno-informacyjnych o zmarłych w czasie wojny naukowcach, członkach Towarzystwa Naukowego KUL.

Pierwsza praca pióra Cz. Strzeszewskiego rysuje nam sylwetkę, działalność i twórczość naukową i ideologiczną Rektora Uniwersytetu Lubelskiego sp. ks. dr. Antoniego Szymańskiego, którego pamięci Autorowie i Redakcja poświęcają tom I „Roczników Nauk Społecznych”.

Zaraz na pierwszej stronie pracy czytamy wspomnienie autora, który opisując jeden z referatów sp. ks. dr. Szymańskiego cytuje sformułowane w nim myśli tego wielkiego uczonego i ideologa. A oto powtarzamy za autorem: „Działalność polityczna jest obowiązkiem katolików, obowiązkiem tych, którzy są do tego uzdolnieni i mają po temu warunki osobiste. Sąd mogą i powinni istnieć w Polsce stronnictwa polityczne, stojące na gruncie chrześcijańskim czy katolickim, tj. takie, które opierają się w swych programach na zasadach chrześcijańskich i grupują katolików. Ale nie może powstać stronnictwo katolickie, tj. stronnictwo, które by było reprezentantem politycznym społeczeństwa wiernych, społeczeństwa, jakim jest Kościół, gdyż Kościół stoi poza polityką. Katolicyzm daje ogólne pod-

stawy myśli społecznej, ale jego rozwiązania szczegółowe mogą być różne w miejscu i w czasie. Stąd pomiędzy politykami katolikami może być więcej doraźnych rozbieżności politycznych, niż pomiędzy katolikami i niekatolikami...”

Ostatnie jakże mądre, głębokie i przewidujące zdanie powtórzmy raz jeszcze: „Stąd pomiędzy politykami katolickimi może być więcej doraźnych rozbieżności politycznych niż pomiędzy katolikami i niekatolikami...” Warto, by o zdaniu tym pamiętali ci wszyscy, którzy nie oglądając się na zachodzące wciąż nowe procesy i przemiany społeczne lub ich nie rozumiejąc czy jeszcze nie doceniając, wyznaczają katolickim społeczeństwu pewne tradycyjne ramy i apriorycznie odziedziczone i potępiają wszelkie inne możliwości rozwiązań jako zaprzeczające katolicyzmowi.

Na końcu wspomnienia o sp. ks. dr. Antonim Szymańskim zamieszczony jest spis prac tego uczonego i ideologa. Zamyka się on imponującą cyfrą 238 prac, w postaci artykułów, rozpraw, opracowań i książek. Cyfra ta mówi sama za siebie. Nie ulega wątpliwości, że wobec postępu wiedzy, wielkich dziejących się przemian społecznych wiele szczegółowych a nawet bardziej ogólnych tez sformułowanych w pracach sp. ks. dr. Szymańskiego można by uczynić przedmiotem dyskusji i może uznać za zdezaktualizowane, niemniej nie umniejsza to wcale roli i znaczenia tego wielkiego socjologa dla katolickiej myśli społecznej, której podważył w Polsce z taką starannością i poświęceniem wypracowywał.

W dalszej części tego działu czytamy jeszcze ciekawe sprawozdania o życiu i pracy sp. Czesława Martyńskiego pióra J. Kalinowskiego, sp. ks. Jana Wiślickiego, pióra sp. P. Kałwa, sp. Ludwika Górskiego pióra Cz. Strzeszewskiego i sp. ks. Henryka Insadowskiego — pióra sp. P. Kałwy.

ROZPRAWY

Drugi podstawowy dział „Roczników Nauk Społecznych” zawiera dziewięć rozpraw naukowych. Tutaj właśnie jako w dziale sensu stricte naukowym zaznacza się przede wszystkim ten obiektywny, naukowy charakter prac, o którym pisaliśmy wyżej. Wynika to zresztą także w części z problematyki rozpraw, która przewija się wokół zagadnień koncepcyjno-teoretycznych.

Należałoby natomiast żałować, że wszystkie zamieszczone prace są z dziedziny prawa brak zaś rozpraw ekonomicznych i socjologicznych. Rozumiemy jednak niemożność za doświadczenia temu brakowi wobec strat nauki polskiej i kilkuletniego zastoju w okresie wojny, oraz gorąco przyklaskujemy zapowiedzi redaktorów w „Słowie wstępnym”, którzy obiecują już w tomach następnym uwzględnić pominięte dziedziny nauk społecznych.

Mamy w tym dziale następujące prace:

Dr Jerzy Kalinowski — Zagadnienie aksjomatyzacji nauki prawa, dr Henryk Dembiński prof. KUL — Moralne podstawy ustroju społeczności międzynarodowej, dr Zdzisław Papierkowski — prof. KUL — Problemy prasowo-prawne, dr Wit. Klonowicki, prof. KUL — Charakter prawny przestrzeni powiatowej, dr Aleksander Kunicki — zast. prof. KUL — Zewnętrzna i we-

wnętrzna istota posiadania w prawie polskim. Dr Antoni Pastuszka, zast. prof. KUL — Odgraniczenie jurysdykcji niespornej od jurysdykcji spornej w polskim procesie cywilnym. Dr Ig. Czuma, prof. KUL — Z etymologii przekształceń znaczenia podatku, dr Józef Mazurkiewicz — „Powiatki” w dawnych księgach miejskich Lublina i miast sąsiednich, dr Kazimierz Szwarcberg — Czerny — Statut Bałtyku (zarys problemu).

Najciekawszą pracą pierwszego tomu „Roczników” jest rozprawa dr Dembińskiego, prof. KUL pt.: Moralne podstawy ustroju społeczności międzynarodowej. Praca ta zawiera może także więcej akcentów ideologicznych, pozanaukowych, nie szkodzi to jednak zupełnie naukowemu obiektywizmowi prawnika i historyka, który bada postawiony przez siebie problem na tle dziejów rozwoju życia społecznego i myśli ludzkiej, aż do dnia dzisiejszego, kiedy powtarzamy za autorem pytanie: „...czy jakiegokolwiek prawne formy zdołają skutecznie zastąpić dotychczasową anarchię (w ustroju społeczności międzynarodowej — dop. mój) do póki powszechnie nie ugruntuje się przekonanie, że zasady moralne obowiązują nie tylko w życiu prywatnym, ale i publicznym...”

I dalej pisze dr Dembiński rozwijając swą tezę: „...z doświadczenia wiemy, że normy prawne w małym tylko stopniu pobudzają ludzką wolę do zgodnego z nimi postępowania; pobudką w tym względzie, bez porównania silniejszą są normy moralne. Mądrość Rzymian dała piórem Horacego wyraz tej wyższości norm moralnych w lapidarnym zdaniu: *Quid leges sine moribus...*”

Szczegółowo dr Dembiński rozpatruje w swej pracy następujące problemy: Racja stanu a moralność; Znaczenie jednostki podstaw moralnych (jednostki w życiu prywatnym i publicznym — dop. mój). Nowe podstawy ustroju międzynarodowego.

Kończąc swą rozprawę autor pisze:

„... Trzeba więc zjednoczyć we wszystkich krajach ludzi pojmujących humanizm tak jak wyżej wskazałem. Zjednoczenie takie właściwie już istnieje. Stanowią je katolicy, którym w obozie integralnie pojętego humanizmu z natury rzeczy powinna przyspaść przodująca rola”

DZIAŁ SPRAWOZDAWCZY

Dział ten zawiera tylko jedno opracowanie, a mianowicie dra Zbigniewa Makarezyka pt.: Nowe kierunki polityki ludnościowej. Autor w wstępie, wyciągając na wstępie trzy okresy rozwoju nauki o ludności w dalszym ciągu wskazuje nie wystarczalność statystyki, która stanowiła dla demografa podstawowy instrument badawczy, musi być uzupełniona przez następujące badania: 1) poszukiwania historyczne, 2) ustawodawstwo ludnościowe, 3) badania ilościowe i koniunkturę ludnościową, 4) badania ekonomiczne, 5) badania psychologiczne społeczne, 6) badania nad kwestiami dziedziczności i środowiska, 7) badania wzajemnego wpływu stosunków ilościowych i jakościowych, 8) uzupełnienie wiadomości demograficznych.

RECENZJE

Bogato opracowany dział recenzji zawiera aż 17 omówień książek z dziedziny nauk społecznych

wydanych po wojnie. Najszerzej uwzględnioną tu dziedziną jest prawo administracyjne, gdyż zrecenzowano aż sześć książek tego działu. Interesującą sprawą w recenzji Wita Klonowickiego z książki J. T. Langroda — „Instytucje prawa administracyjnego” jest omawianie zagadnienia aktywności administracji w ujęciu materialnoprawnym, np.: zagadnienie klasyfikacji typów aktywności administracji oraz zagadnienie aktywności administracji w ujęciu formalnoprawnym. Bardzo słuszne jest stwierdzenie autora recenzji, że opracowania polskiego systemu prawa administracyjnego stanowią jedną z najważniejszych zadań tej nauki w czasie obecnym. Wiele aktów pozytywnego prawa administracyjnego i brak ich monografii stale jeszcze stoi temu na przeszkodzie.

SPRAWOZDANIA Z PRAC

W dziale sprawozdań z prac członków Wydziału Nauk Społecznych Tow. Naukowego KUL znajdujemy omówienie ośmiu rozpraw m. in. są tam prace: Czesława Strzeszewskiego pt.: Rehabilitacja Ekonomii; H. Dembińskiego — Dyplomacja i dyplomaci w nowocześnie państwie, Zdzisława Papierkowskiego — Socjologiczne i filozoficzne oblicze kary. Tutaj wypada jeszcze podkreślić, że poza dziedziną prawa w działach recenzji i sprawozdań „Roczników” uwzględniano są także szeroko nauki ekonomiczne i socjologiczne.

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

Osobną, szczególnie pieczołowicie opracowaną pozycją w I tomie „Roczników Nauk Społecznych” zajmuje obszerny, bo aż na 129 stronach druku zawarty przegląd bibliograficzny. Obejmuje on olbrzymią ilość współcześnie aktualnych prac naukowych z dziedziny prawa, ekonomii i socjologii w językach polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim i włoskim. Bibliografia stanowi pozycję godną specjalnej uwagi, a w jej tak pracowitym i ciekawym zestawieniu znać fachową rękę redaktorów prof. prof. Ignacego Czumi i Henryka Dembińskiego.

OCENA OGÓLNA

Ocena ogólna tomu pierwszego Roczników Nauk Społecznych jest zawarta w ocenach omówionych powyżej działów, bezwątpienia „Roczniki” są nową cenną pozycją katolickiej myśli społecznej w Polsce po wojnie. Można by jedynie współzawodniczyć w gorących wyrazach uznania dla autorów redaktorów i wydawców, oraz z niecierpliwością oczekiwać następnego tomu. Nie podlega bowiem dyskusji, że przy współcześnie olbrzymiej problematyce nauk społecznych, w dobie wielkich przemian na całym świecie — dwa tomy rocznika tylko w części zaspokoją wielką potrzebę twórczości i popularyzacji nauki w tych dziedzinach.

NAKLAD

Na koniec chciałbym jeszcze wyrazić zdziwienie małym nakładem „Roczników Nauk Społecznych”, który wynosi 1.200 egz. Przy umiętym rozpowszechnianiu książka ta rozeszłaby się w nakładzie kilka krotkrotnie większym. Trzeba by pomyśleć i o tym.

Andrzej Micewski

¹⁾ „Roczniki Nauk Społecznych” Prawo — Ekonomia — Socjologia, I 1949. Redaktorowie: Ignacy Czuma, Henryk Dembiński, Tow. Naukowe KUL — Lublin 1949. nakł. 1200 egz. Str. 424.

Mikołaj Rostworowski (Nik)

O właściwą bazę katolickiego ruchu społecznego

Działalność społeczna jest dziedziną, w której katolicy świeccy w oparciu o wiecznie żywą prawdę Kościoła, znajdują wiele miejsca dla samodzielnej, twórczej inicjatywy. Jej racja etyczna wynika z chrześcijańskiego poczucia odpowiedzialności za losy bliźnich, z troski, której dajemy codzienny wyraz, modląc się o przybliżenie Królestwa Bożego na ziemi. Od powinności osobistego wkładu w realizację tego Królestwa nikt z nas nie jest zwolniony, podobnie jak nie sposób wyobrazić sobie katolika, który mógłby zostać zwolniony z obowiązku miłości bliźniego.

Aktualnie szczytowym wyrazem działalności społecznej ze względu na szeroki i natychmiastowy zasięg jej społecznych skutków jest polityka, złączona nierozdzielnie z pojęciem sprawowania władzy.

Nie wydaje mi się, aby stwierdzenie nadrzędnej roli polityki w kształtowaniu społecznego oblicza świata, w którym nam żyć wypadło, było dostatecznym powodem do rozdzierania szat przez nas ka tolików. Takiej postawie sprzyjało by między innymi odziedziczone w spadku po dziewiętnastowiecznej, myśli dziwacznego wyobrażenia o polityce jako wyłącznej domenie aktywności speców. Ten myślny trącający schemat, połączony z wulgaryzacją całkiem oczywistej tezy o rozgraniczeniu spraw religii i polityki, służy niestety wciąż jeszcze za tarczę ochronną katolickim zwolnikom społecznego kwietyzmu, oraz tym ludziom dobrej woli, którzy w działających się przemianach skłonni są jedynie dostrzegać grzeszny chaos.

Niewątpliwie zasady moralne nie są tak przestrzegane w świecie, jak byśmy tego szczerze pragnęli, ale to chyba nie uprawnia nas do odwrócenia się do świata plecami. Przeciwnie, dojrzenie do polityce jej potrzebnych możliwości oddziaływania społecznego winno koncentrować na niej uwagę tych wszystkich katolików, dla których słowa Modlitwy Pańskiej stanowią wzorzec bardziej przekonujący od piałowego gestu.

Katolickim ruchem społecznym nazywam zespół katolików świeckich, który stawia sobie zadania z zakresu polityki społecznej. Właśnie te specyficzne cele będą wyróżniały ruch tego typu od bractw różnicowych, ekip katechetycznych, czy też laboratorijnych stowarzyszenia klerków. Nie oznacza to bynajmniej niedoceniaenia ważnej światopoglądowo i społecznie funkcji wymienionych organizacji. Należy jedynie uniknąć ewentualnych pretensji czytelnika, który nieuprzedzony, może stawiać zarzuty, że np.: katolicki ruch społeczny nie zajmuje się przede wszystkim nawracaniem na katolicyzm. Rzecz jasna sprawy zbawienia winny stanowić oś centralną troski i zachodów każdego katolika. Bezpośrednim jednak zadaniem katolickiego ruchu społecznego winno być dążenie do kształtowania warunków życia zbiorowego w myśl wyznawanego światopoglądu, nie zaś doraźna działalność misyjna. Mówiąc obrazowo, ruch taki trafniej można przyrównać do baonu saperów aniżeli do kompanii piechoty, maszerującej przez most dłońmi saperów wzniesiony. Łączy się z tym oczywiście sprawa też programowych ruchów.

Ścisłe przyporządkowane społecznym zadaniom, muszą one stanowić harmonijną syntezę między wiedzą o człowieku i społeczeństwie, którą czerpiemy z katolickiej filozofii, a znajomością praw rządzących społecznym mechanizmem, którą z kolei zawdzięczamy takim naukom empirycznym, jak ekonomia czy socjologia.

Uniwersalistyczna koncepcja społeczeństwa i personalistyczna koncepcja człowieka — oto dwie podstawowe prawdy, których przestrzeganie winno się stać kryterium katolickości ruchu. Pierwsza z nich mówi nam o moralnej jedności całej zbiorowości ludzkiej, druga przypomina, iż człowiek jako jednostka społeczna podlega kierownictwu autorytetu społecznego, mając równocześnie własny cel osobowy, od społeczeństwa niezależny. Tak więc jakkolwiek bezpośrednim przedmiotem zainteresowań ruchu społecznego jest grupa a nie jednostka, ruch pretendujący do prymatu „katolicki” swój ostateczny cel musi upatrywać w tworzenie takich warunków życia społecznego, w których jednostka będzie miała możliwość pełnego rozwoju. Zapewnienie jednostce środkami społecznymi poczucia wolności, godności i możliwości swobodnego wyboru drogi do Boga jest głównym zadaniem, któremu winna być podporządkowana wszelka katolicka praktyka społeczna.

W społeczeństwie antagonistycznym, a innego przecież w dużej skali nie znamy, każda działalność społeczna służy doraźnym interesom tylko jakiejś określonej liczby jednostek i grup. Te jednostki lub grupy, które wyodrębnia spośród innych jednostek czy grup wspólna świadomość, że dany ruch społeczny reprezentuje ich społeczne potrzeby, nazwiemy bazą społeczną ruchu. Nie jest to jakaś operacja dowolna. Historia nie zna ruchów społecznych, pozbawionych tak zdefiniowanej bazy. Oczywiście daleki jestem od twierdzenia, że we wszystkich czasach baza ruchu społecznego formowała się na identycznych zasadach. Można co najwyżej do wodzić wyższości pewnych warunkowań na pewnych etapach historii.

Z punktu widzenia socjologii, która jest nauką opisową, a nie normatywną, o przynależności do danej grupy decyduje w ostatecznej instancji jakaś, choćby najbardziej nikła świadomość przynależności grupowej. W dobie szczególnie ostrego zarysowania klasowych przeciwieństw skłonni jesteśmy, często zbyt pochopnie, przypisywać czynnikowi ekonomicznemu największą siłę grupotwórczą. O ile w odniesieniu do współczesności pogląd taki wydaje się trafny, o tyle analizując np. historię średnio-wiecznych krucjat czy budzenia się prądów nacjonalistycznych w Niemczech w XIX wieku, dostrzeżemy, że motywy religijne i narodowe mogły być równie ważnymi ogniwami społecznej więzi. Bez względu jednak na wybór haseł, mających stanowić o krystalizacyjną bazę danego ruchu, jest społeczna niemożliwością, ażeby w społeczeństwie klasowym można było równocześnie reprezentować doraźne interesy wszystkich jego członków.

Żyjemy w epoce strukturalnego kryzysu kapitalizmu, który z taką siłą zarysował różnicę między po-

siadającymi a nieposiadającymi, że podział klasowy, to znaczy ekonomiczny pokrywa się niemal bez reszty z podziałem socjologicznym. Najbardziej typowym produktem tego procesu jest uświadomiony proletariatus, jeżeli bowiem chodzi o warstwę posiadającą, to jeszcze nie istnieje między nimi pełna świadomość grupowej wspólnoty. Dalsze trwanie systemu kapitalistycznego gwarantuje tragiczną ciągłość zastraszania się omawianego podziału. Ten proces nie jest odwracalny.

Przed każdym politykiem, przed każdym ruchem społecznym wyłania się konieczność przemyślenia do końca wniosków, jakie muszą stąd płynąć.

Katolicki ruch społeczny, który ma ambicję formowania życia społecznego, zgodnie z wyznawanym światopoglądem, będzie działał w niehistorycznej próżni, jeżeli nie zechce uwzględnić w swoich tezach programowych i metodach działania doniosłych konsekwencji obserwowanego zjawiska. Tylko Kościół, który jest wieczny, więc ponadhistoryczny, mógłby sobie pozwolić na taką obojętność wobec współczesności.

Rysem charakterystycznym znanych nam ugrupowań politycznych, określających się jako polityczne, jest solidaryzm. W cyklu ogłoszonych niedawno w „Dziś i Jutro” artykułów Wojciech Kętrzyński ujawnił w sposób przekonujący historyczną podszewkę solidaryzmu. Wydedukowany z fałszywych przesłanek spencerowskiej teorii społeczeństwa pojmowanego jako organizm, był na pewno rewolucyjnym programem w okresie, kiedy go uznawano za wyraz najbardziej postępowej wiedzy o mechanizmie życia społecznego. Dzisiaj może co najwyżej służyć za dogodną fikcję programową, którą bezpośrednio zainteresowani tolerują ze znaczącym przyzwyczajeniem oka.

Solidarystyczny jest program francuskiego MRP i Chadeccji De Gasperięgo. Obie partie uchodzą za katolickie i równocześnie nikt ich od katolickości nie odsądza z tego tylko tytułu, że reprezentują interesy i potrzeby stanu średniego. Marksista powiedziałby w tym miejscu: „Sa klasowo uwarunkowane”... — Katolicy odczuwają ich styktną niechęć do terminu „klasa”, ponieważ wiąże się on w ich mniemaniu nierozłącznie z pojęciem walki klasowej. Wydaje mi się jednak, że nasze zastrzeżenia winny dotyczyć tylko i wyłącznie walki klas, pojmowanej jako narzędzie polityki społecznej. Negowanie antagonizmów klasowych w ich obiektywnej prawdzie bezspornego zjawiska socjologicznego równa się społecznej ślepotcie, albo świadomej pretensji do niedobrej rzeczywistości.

Jeżeli zgodzimy się, że nie można w społeczeństwie antagonistycznym reprezentować jednocześnie doraźnych potrzeb wszystkich jego członków, powstaje pytanie, jak po winna wyglądać baza katolickiego ruchu społecznego. Kryteria właściwego wyboru muszą rzecz prosta wynikać z socjologicznie trafnej oceny zachodzących w świecie przemian. Alain Barrere w wakacyjnym numerze „Etudes” (lipiec-sierpień 1948) pisze m. in.: „Doktryna katolicko-społeczna jest rewolucyjna, gdyż zmierza ona do za-

stąpienia jednego ustroju przez inny. Chce wprowadzić ustrój osobowości (personalistyczny) na miejsce ustroju izolowanej jednostki, albo też ustroju jednostki wchłoniętej przez społeczeństwo”. („Znak” nr 12, 1948). Wydaje mi się, że prawdziwe uświadomienie konieczności przydania społecznej akcji ka tolików znamion rewolucyjnych musi stać u korzeni dokonywanego wyboru. W dobie globalnych przeobrażeń społecznych planować realistycznie znaczy planować w skali światowej a nie partykularnej. Wraz z upadającym kapitalizmem wali się w gruzy pewien system społeczny współżycia i to właśnie zjawisko mamy na myśli, mówiąc o zmierzchu „starego świata”. Upadkowi dawnego porządku towarzyszy podział całej ludzkości na zainteresowanych i niezainteresowanych w jego galwanizacji. Do pierwszej grupy wypadnie nam zaliczyć te warstwy i narody, którym system kapitalistyczny gwarantował dotychczasowe przywileje i do tychczasowy stan posiadania, do drugiej te warstwy i narody, którym gwarantował wycisk i upośledzenie. Wybór bazy sprowadza się zatem do wyboru między pokrzywdzonymi przez nowy porządek, znajdującymi się dopiero in statu nascendi, a pokrzywdzonymi przez stary ustrój. W obu wypadkach mamy do czynienia z olbrzymimi rezerwami gigantycznych sił społecznych, z których jeden tylko może użyć mocy napędowej ruchowi, o jakie nam chodzi. Równocześnie wyrażania społecznych potrzeb obu formacji nie podobna żądać od ruchu, u którego genezy spoczywa ambicja udzielenia odpowiedzi na konkretne pytania ustrojowe. W praktyce wszystkie znane nam katolickie ruchy polityczne dokonały wyboru i możemy najwyżej kwestionować jego trafność, w żadnym zaś wypadku nie będziemy im mieli za złe, że się na wybór zdecydowały. Jeżeli np. w katolickich Włoszech 8 milionów obywateli głosuje na partię komunistyczną, to chyba nie mamy najmniejszych złudzeń, że chrześcijańska partia de Gasperięgo nie reprezentuje społecznych potrzeb włoskiego proletariatus. Innymi słowy: włoska Chadeccja uznała galwanizację starego porządku za politycznie słuszną, a de Gasperięgo wygodnie się mieści w naszkicowanym wyżej schemacie.

Doraźne zadania ruchu, który dokonał wyboru bazy, będą się układały w ściślejszej od niej zależności, w obu wypadkach w sposób diametralnie różny. Ruch, chcący reprezentować społeczne potrzeby formacji, pokrzywdzonej przez nowy porządek, musi apelować do świeżego poczucia krzywdy, albo też kataklizmem bezpośrednio niedotkniętych uświadamić o ich ustawicznym zagrożeniu. Funkcja społeczna takiego ruchu będzie historycznie wsteczna, a ruch słusznie nazwiemy konserwatywnym. Odwrotnie, ruch, pracujący się stać rzeczniczką tej formacji, która dawnemu porządkowi zawdzięcza społeczne upośledzenie, położy szczególny nacisk na uświadomienie starego zła i zapewnienie skutecznych środków jego naprawy. Ruch tego typu będzie społecznie postępowy i zasłuży na miano rewolucyjnego.

Bez względu na doraźne efekty konfliktów, które są stałym obiektem wzajemnego stosunku antagonicznych formacji, społeczne

zwycięstwo pokrzywdzonych przez stary porządek jest w ostatecznym rozrachunku przesądzone. Nowy ustrój będzie realizowany przez klasę robotniczą, która jako najbardziej zwarta, dynamiczna i najlepiej doświadczona przez kapitalizm stanowi naturalną awangardę formacji wstępującej. Dla przewidującej polityki społecznej płyną stąd całkiem jednoznaczne wnioski. Wynikają one z poprawnej oceny pod stawowej kierunkowej rozwoju społecznego i sumują się w stwierdzeniu, że ruch, mający ambicję udziału w kształtowaniu oblicza nowego świata, musi wyrażać społeczne potrzeby formacji dotąd upośledzonej. To stwierdzenie jest obowiązujące w równym stopniu także i dla katolickiego ruchu społecznego. Jest obowiązujące jako pewien rygor społeczny, któremu można się nie poddać, tylko za cenę równoczesnej rezygnacji z odpowiedzialności za przyszłe losy świata.

Czas rewolucyjnych przeobrażeń społecznych bywa z reguły czasem szczególnego nasilenia krzywdy jednostki. Rzecz jasna, gdyby istotnie, opowiadając się po stronie sprawiedliwego buntu społecznego, trzeba było tym samym rezygnować z uwzględnienia buntu humanistycznego, działalność społeczna w ramach wyżej nakreślonych byłaby dla katolika absolutnie nie do pomyślenia. Byłoby podobnie nie do pomyślenia jak jakakolwiek sytuacja, w której nie miałby on obowiązku świadczenia prawdy. Ostatecznie nie co innego, jak właśnie wola służenia jednostce, która ma własny cel osobowy, stanowi najpoważniejszą rację każdej działalności społecznej.

Bunt humanistyczny, towarzyszący czasom rewolucyjnym przeobrażeń, jest zjawiskiem, które przebiega w poprzek linii społecznych podziałów. Jednostki społecznie zainteresowane w obaleniu starego porządku, cierpią bowiem częstokroć na równi z członkami warstw likwidowanych.

Katolicki ruch społeczny może i powinien opowiadać się przeciw błędnym formom życia społecznego, nigdy zaś przeciw człowiekowi. Jego osobowe dobro bez względu na przynależność społeczną musi mieć stale na uwadze i nie ma na tyle ważnych zadań społecznych, dla których to dobro wolno by poświęcić. Polityce humanistycznej grozi jednak zawsze niebezpieczeństwo nadania naturalnej obronie praw jednostki charakteru walki z rewolucją. Tymczasem w dobie te wulucyjnych przemian te prawa są narażone na szwank po obu stronach barykady i buntu humanistycznego, buntu osoby nie należy rozumieć w kategoriach obowiązujących schematów społecznych. Obrona jednostki nie można identyfikować z obroną warstwy słusznie skazanej na likwidację, a wiecznych praw osoby mieszać z historycznie zmieniającymi się interesami członka danej społeczności. W wie lu wypadkach zatem będzie się mogło zdanie, że katolicki ruch społeczny weźmie w opiekę człowieka, którego świadomość pozbawiła społecznych przywilejów i będzie dbał o danie mu możliwości życia w nowych warunkach. Przykład zakrawa na paradoks. Będzie nim wręcz z wszystkimi innymi tezami artykułu, jeżeli za paradoksalny uznamy obowiązek miłości.

Mikołaj Rostworowski

Włodzimierz Wnuk

Przeгляд prasy

Dyskusje o kosmopolityzmie

W prasie marksistowskiej z ostatnich paru tygodni ukazał się szereg artykułów wymierzonych przeciwko kosmopolityzmowi. I tak na łamach „Trybuny Ludu” zaatakowała go Celina Bobińska („Kosmopolityzm narzędziem imperializmu”), w „Kuznicy” Melania Kierczyńska („W walce z kosmopolityzmem”), w „Odrodzeniu” wreszcie Jerzy Pański („O kosmopolityzmie w sztuce”) — żeby ograniczyć się do najważniejszych pozycji. Ostro kampania na ten temat zaczęła się także w ZSRR. Partia komunistyczna przeciwstawiła się pewnemu odłamowi literackich, teatralnych i filmowych krytyków radzieckich — tych mianowicie, którzy propagowali w swoich wystąpieniach ducha kosmopolityzmu. Kampania ta jest tylko fragmentem wielkiej ofensywy ideologicznej wszczętej po ostatniej wojnie przez partię komunistyczną w Związku Radzieckim na całym froncie nauki i sztuki, a zmierzającej do oczyszczenia tego frontu z nalatów kosmopolityzmu, z antynarodowych wpływów idących od Zachodu.

Wpływy te — jak się dowiadujemy choćby z cytowanych artykułów — zaznaczyły się w powojennej nauce, literaturze i sztuce radzieckiej w dość silnym stopniu. WKP(b) rozpoczęła z tendencją kosmopolityczną na odcinku kultury walkę bezpardonową. Dowiadujemy się zatem, że szereg filozofów radzieckich (Kiedrow, Rozenal i inni) wypowiedziało poglądy, że nauka jest zjawiskiem bez granic i odrębności narodowej, negując realne warunki narodowe, w których nauka i kultura powstają oraz ignorując narodową przynależność uczonych i twórców. Ze znaczny odłam krytyków literackich i teatralnych (Juzowski, Borszczowski, Trauberg i inni), zaatakował ze stanowiska kosmopolityzmu współczesną twórczość radziecką jako nazbyt narodową, ciasną, partykularną, pomniejszając jej artystyczną wartość i dorobek. „Zjawiska zupełnie nowe co do treści i formy — pisze Celina Bobińska — usiłowano oceniać według burżuazyjnych kanonów „wiecznego piękna”. Np. dla jednego z krytyków taką jedyną uniwersalną miarą wszelkiego rodzaju utworów dramatycznych był Hamlet. Krytycy kosmopolitycy rozdawali cenzurki sowieckim pisarzom stosownie do tego, jak oceniali ich dzieła w zestawieniu z utworami minionego i

współczesnego burżuazyjnego, amerykańskiego i europejskiego dekadentyzmu”. Ci sami krytycy osadzili, znaną u nas książkę Niekrasowa „W okopach Stalingradu” jako realizm drugiego gatunku nie wytrzymujący porównania z realizmem Celine’a. Szczególnie ostro potraktował ten odłam krytyków sztuki, teatralne Pogodina, Kornejczuka, Sofronowa i in. osnute dookoła budownictwa socjalizmu i walki z najeżdżącą hitlerowskim. W ogóle na terenie dramaturgii krytycy kosmopolitycy przejawili najuchyliwą działalność głosząc tezę, że skoro zniknął z utworów scenicznych faszysta z autematem nie ma już pola dla konfliktów w dramaturgii radzieckiej. Przeciwko tej tezie wystąpił gwałtownie Konstanty Simonow (cytuje za Melanią Kierczyńską):

„Tylko kapitulanci marzący o tym, by żyć na stopie pokojowej z wojującą ideologią burżuazyjną, mogą udawać, że nie pojmują, jak ostre stały się obecnie wszystkie konflikty rzeczywistości... Istnieją one wszędzie, poczynając od sali, podzielonej na milczenie i oklaski podczas przemówień delegatów radzieckich na Zgromadzeniu Generalnym, aż do gabinetu kierownika rejonowego oddziału banku, walczącego o dyscyplinę w wydatkowaniu każdego radzieckiego rubla z tymi, którzy nie dorosli czy nie raczyli dorosnąć do rozumienia konieczności tej dyscypliny”.

Jak widzimy w radzieckim życiu kulturalnym zachodzą w tej chwili przeobrażenia o doniosłym znaczeniu ideowo-politycznym, wybiegającym daleko poza ZSRR, takie bowiem znaczenie ma bezkompromisowa walka, jaką WKP(b) wytoczyło kosmopolityzmowi w nauce i sztuce. Odsyłając zainteresowanych bliżej tą sprawą do wspomnianych na wstępie prac Bobińskiej, Kierczyńskiej i Pańskiego, zwróćmy uwagę na niektóre wypowiedzi i sformułowania, jakie padły z ust publicystów „Trybuny Ludu”, „Kuznicy” i „Odrodzenia” odnośnie zjawiska kosmopolityzmu, wypowiedzi te bowiem mają dla nas dość istotne znaczenie.

Co prawda, kiedy Celina Bobińska w swoim frontalnym (i nie przebiegającym w słowach) ataku na kosmopolityzm widzi w nim niemal tylko „for-

pocztę amerykańizmu” oraz „ideologiczny oręż drapieżnego i zachłannego imperializmu amerykańskiego” — wydaje nam się, że sprawę nieco upraszcza. Bo kosmopolityzm, jako prąd ideowy, jako światopogląd, ma zapewne starszy rodowód od „amerykanizmu” i nie zawsze musi się go utożsamiać z „duchowym narzędziem polityki podbojów”. Kosmopolityzm jest zjawiskiem złożonym i różnorodnym. Ale nie o to nam w tej chwili chodzi. Chodzi mianowicie o to, co publicyści organów marksistowskich przeciwstawiają kosmopolityzmowi, co podkładają na jego miejsce?

Wypowiedzi Bobińskiej, Kierczyńskiej i Pańskiego podkreślają z naciskiem, iż podstawą nowej kultury ma być — patriotyzm i internacjonalizm. Warto przytoczyć tutaj niektóre ustępy z artykułów, o których mowa.

Celina Bobińska stwierdza w „Trybunie Ludu”: „W przeciwieństwie do proletariackiego internacjonalizmu, który jednoczy dla wspólnego celu, dla wspólnej walki patriotyzm mas ludowych — kosmopolityzm w swym brutalnym nie liczeniu się z dorobkiem narodowym, w dążeniu do zniesienia granic i suwerenności narodu — sprzeczny jest z postępowym interesem narodowym, umiłowaniem ojczyzny i ojczystej kultury. „Duma narodowa, umiłowanie postępowych tradycji i osiągnięć swego narodu jest istotnym czynnikiem wszelkiej postępowej twórczości... Dzieła wybitne posiadają zawsze wybitną fizjognomię narodową i dzięki temu stają się dorobkiem ogólnoludzkiej kultury”.

Melania Kierczyńska pisze w „Kuznicy”: „Internacjonalista jest prawdziwym patriotą, gdyż dąży do istotnej jedności narodowej w imię interesów najszerszych mas narodu — w socjalistycznej ojczyźnie. Internacjonalista wzywa do kultywowania wartości narodowych, które wzbogacają międzynarodową, ogólnoludzką kulturę. Narodowa forma każdej kultury i jej socjalistyczna treść — to jedność pierwiastka narodowego i pierwiastka internacjonalnego w dziedzicze kultury”.

Jerzy Pański podkreśla w „Odrodzeniu”: „... właśnie ideologia proletariatu, ideologia oparta na najsłabszym, najgłębszym internacjo-

nalizmie — głosi dziś obronę kultury narodowej i narodowego dorobku, suwerenności narodowej i narodowej dumy”.

Zestawiliśmy celowo te oświadczenia, opublikowane niemal jednocześnie na łamach trzech centralnych organów myśli marksistowskiej w Polsce, aby wskazać na wagę tego wystąpienia. I żeby przez to zestawienie uwydatnić narodową, patriotyczną myśl, zaakceptowaną z taką siłą i wyrazistością we wszystkich trzech publikacjach. Nie przynoszą one merytorycznie nic nowego, nie ma w nich żadnych programowych rewelacji, niemniej jednak nowy jest ten akcent, jaki padł w cytowanych wypowiedziach na narodową formę każdej kultury, nowa jest w pewnym sensie atmosfera, jaka bije z tych gorących słów o dumie i tradycji narodowej, jako istotnym czynnikiem wszelkiej postępowej twórczości. I wreszcie nowe nie w treści ale w sile swego wyrazu i w sposobie sformułowania jest wezwanie do służenia ludzkości poprzez naród, wezwanie do wzbogacania kultury ogólnoludzkiej poprzez rozwój kultury narodowej, bo innej drogi ku temu wiodącej nie ma.

Z naszego punktu widzenia kosmopolityzm, oznaczający nie tyle umiłowanie świata ile umiłowanie własnej osoby wyzbytej z obowiązków, jakie na każdego człowieka nakłada przynależność narodowa, a przywiązanie raczej do materialnych, użytkowych niż duchowych korzyści „obywatelstwa świata” — był i jest w naszych oczach zjawiskiem chorobliwym i szkodliwym. Chorobliwym, bo wypacza i zuboża człowieka o te ogromne wartości wewnętrzne, jakie daje mu życie w naturalnej wspólnotie narodowej i o te siły moralne, jakie czerpie on z łączności z organizmem narodowym stanowiącym przecież rozszerzoną rodzinę. Szkodliwym, bo prowadzi zazwyczaj do lekceważenia własnej kultury, godności, suwerenności narodowej, torując drogę świadomości czy nieświadomości, imperializmowi tego czy innego mocarstwa.

Postawa, zajęta przez „Trybunę Ludu”, „Kuznicę” i „Odrodzenie” wobec dylematu patriotyzm-kosmopolityzm, jest godna naszej bacznej uwagi i rozważki, bo precyzuje ona po-

gląd obozu marksistowskiego na sprawę najbardziej zasadniczą, na sprawę obchodzącą nas jak najżywniej. Z doświadczenia zaś, wyniesionego z pierwszej fazy panowania tego obozu w Polsce, wiemy, iż nie są to słowa rzucone na wiatr, że nie są one li-tylko taktycznym manewrem, uwarunkowanym sytuacją międzynarodową, jak to twierdzą niektórzy... Jeśli bowiem manewrem są wspaniałe, przedsięwzięte na skalę dotychczas w kraju nie spotykana, obchody ku czci Mickiewicza i Chopina, jeśli manewrem jest planowa, ilością nakładów przewyższająca wielokrotnie cyfry przedwojenne akcja wydawnicza, zmierzająca do uprzystępnienia najszerszym masom najbardziej wartościowych dzieł literatury narodowej, jeśli manewrem jest przełomowa na wielu odcinkach upowzechniania kultury akcja „Czytelnika”, jeśli manewrem li-tylko jest społecznie przełomowa a dla rozwoju kultury narodowej mająca doniosłe znaczenie akcja czasów pracowniczych — że ograniczymy się do tych tylko bezspornych dla każdego uczciwego obserwatora osiągnięć — no to pozwólcie nam być w tej materii innego zdania. Ci zaś, którzy nie potrafią czy nie chcą spojrzeć na to wszystko inaczej, jak tylko z „taktycznego” punktu widzenia, muszą przyznać przynajmniej jedno: na tych „manewrach” kultura polska źle nie wychodzi.

Stwierdzając to, nie przyzymkamy oczu na to, co nas w aktualnej polityce kulturalnej niepokoi. Na to mianowicie, iż w pielęgnowaniu dumy narodowej i postępowych tradycji jako istotnego czynnika wszelkiej postępowej twórczości — co tak słusznie podkreśliła Celina Bobińska w „Trybunie Ludu” — pomija się lub nienależycie docenia rolę Kościoła i katolicyzmu, którego wkład w uprawę kulturalną naszego narodu był i jest olbrzymi. Ze w akcji odczytowej w „spotkaniach autorów z czytelnikami” za mało spotykamy pisarzy o światopoglądzie katolickim. A przecież nie wydaje nam się, aby kultura polska mogła na dłuższą metę normalnie się rozwijać bez czerpania z tak potężnego rezerwuaru sił moralnych, jakie na przestrzeni wieków wlał w nasz naród katolicyzm, bez odwołania się do tych wszystkich twórczych elementów, jakie tkwią w światopoglądzie religijnym wyznawanym przez większość Polaków.

W Roku Mickiewiczowskim warto przypomnieć słowa wieszczki, wygłoszone w prelekcjach paryskich: „... trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zmienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historii było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siła”.

Popierajcie
Katolicki
Uniwersytet
Lubelski

Stanisław Podlewski
„Przemarsz
przez Piekło”

Dni zagłady Staromiejskiej
dzielnicy w Warszawie

2 t. — 1.300 zł.

Wydawnictwo:

MIECZYŚLAW
FUKSIEWICZ i S-ka

Warszawa, Nowogrodzka 37

do nabycia

we wszystkich księgarniach

Sieci rybackie cienkie i grube
Wore przeciwoziarowe tkoczne

Fachowość, długieletnie doświadczenie i sumienność, to były nam opuskie klientu niemienną doskonałości naszych wyrobów

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka
„IWIS” SP. AKC. GRODZISK MAZ. ul. SPÓŁDZIELCZA 2 tel. 7067

